Ogólnopolska Odzwa Łódź M.

16 Rok XVI (805)

CENA 1.50 ZŁ

22. 4. 73

„BRZYDKI OGRÓD" STEFANII GRODZIEŃSKIEJ — PATRZ STR. 5

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

PABLO PICASSO

Czytaj na str. 3

Wiatr październikowy niósł z sobą kolorowe liście i nieznaną o tej porze roku odwilż.

Zamąciło w ludzkich głowach, pojaśniały oczy, mocniej zabiły serca.

— Koniec z tym cholernym kołchozem!

Pięć krów, które stały w nowiutkiej wspólnej oborze na 60 stanowisk, rozpędzono po wsi; ludzie z Dąbrówki przyczaili się w chałupach, twardo, pewnie stanęli przy własnych zagonach.

Było kilka gorących nocy, podczas których działacze z Komitetu Powiatowego partii pocili się, aby uratować spółdzielnię, lecz chyliła się jesień 56, nikt nie dał się przekonać.

TWARZĄ DO SŁOŃCA

RYSZARD BINKOWSKI

Dzisiaj każdy mądry, po czasie.

— Bo co to było? Na ile się liczy zlepek ludzi?

— Każdy myślał, żeby przeżyć, urwać coś lepszego dla siebie.

— Brali się do siania żytka na piaskach. Same straty, dochodu żadnego, co było, szło na przelew w rozhulane noce.

To po co tu pisać o tych dniach kruszącej się kolektywizacji? Ano trzeba, bo na przekór wszystkiemu w Dąbrówce jest spółdzielnia, i to jedna z najlepszych w kraju.

Trudno wytłumaczyć, dlaczego tak się stało. Może przyczynkiem do jej powstania był już fakt, że w roku 1935 do Dąbrówki wżenił się **Jakub Baran**, rolnik z podkrakowskiej wsi?

Tak, ale jeden człowiek nie za wiele może zdziałać. Na powstanie spółdzielni złożyło się wiele innych czynników.

1.

To jest czwarty kilometr za Zgierzem, przy drodze wiodącej do Piątku. Dwa lesiste wzgórza, a za nimi, po lewo, w kotlinie otoczonej łagodny-

(Dalszy ciąg na str. 6)

ANDRZEJ MAKOWIECKI (III)

GRANDOLOGIA

HIGH SOCIETY

Dwa najwytworniejsze lokale Warszawy — „Bristol" i „Europejski" — przeżyły ostatnio wielki wstrząs. Do pokoju, w którym pewien cudzoziemiec zaspokajał akurat swoje erotyczne potrzeby, wpadł rozjuszony portier i zaczął szarpać wysoko notowaną na giełdzie prostytutkę krzycząc, że nie dała mu w łapę wedle umowy.

Cierpliwość prostytutki też miała swoje granice. Wywleczona za włosy na korytarz, sponiewierana i odarta z kurewskiej chwały, z miejsca pofolgowała swojej nienawiści, wrzeszcząc na cały głos, że portierzy to banda sutenerów i złodziei, żyjących z ciężkiej pracy uciemiężonych i notorycznie wyzyskiwanych dziewczynek.

Wrzaski te dotarły gdzie trzeba.

Rozpoczęło się niebawem wielkie oblężenie hotelowej twierdzy, podczas którego, już w pierwszych godzinach dochodzenia, wyszły na jaw rzeczy niesłychane...

Gang składał się przecież nie tylko z prostytutek i portierów. Współpracowali z nimi również na zasadzie dobrowolnych kooperantów taksówkarze, szatniarze, windziarze oraz inni hotelowi i pozahotelowi cwaniacy. „Europejski" był w pewnym sensie domem publicznym. Już nie chodzi o to, że działał tu mocno rozbudowany aparat informacji i transportu... Po prostu — niektórym dziewczynkom powynajmowano na własne i cudze nazwiska hotelowe apartamenty, dzięki czemu portierzy mieli nad ich zarobkami większą kontrolę, natomiast one same nie musiały tracić czasu na dojazdy z miasta... Urzędując w obrębie jednego gmachu na linii: parter — góra, czyli knajpa, kawiarnia, bar — alkowa, wybitnie zwiększyły swoje moce przerobowe, przynosząc sobie i portierom zwielokrotnione zyski.

Pytam jednego z moich informatorów, jak to możliwe, że nie wkroczyła w sprawę dyrekcja. Czyżby ci czcigodni panowie nie mieli oczu i uszu?

— Mieli — odpowiada in-

(Dalszy ciąg na str. 7)

III

WYPOCZYNKU W ŚWIĘTA

ZDROWIA I POMYŚLNOŚCI CZYTELNIKOM

ŻYCZĄ „ODGŁOSY"

Próżno wyglądać, gdzie się podziali chłopi lipieccy. Bo w Lipcach chłopów nie ma! Pozostały niedobitki; na przeszło 1100 dusz zaledwie 10 proc. wyłącznie z ziemi żyje, i to w przeważającej mierze starzy gospodarze, bo młodych orka na roli nie bardzo pociąga. Toteż na gwałt się odchłopiają, szkoły kończą, zasadnicze, średnie, wyższe, a potem...

Chłopi w Lipcach

ELŻBIETA DEMUS

Uciekają młodzi z Lipiec? Nie, nie to. Idą po prostu tam, gdzie ich los prowadzi — małżeństwo, praca, różne życiowe okoliczności... Powymierali już glebae adscripti — ci ziemi przypisani całą naturą swoją, z ziemią związani więzią pierwotną, emocjonalno-moralną, silniejszą od wszelkich więzi prawnych. Bo też i ziemia lipiecka względami swoimi zbyt wielu obdarować chciała, aż wreszcie rozwałkowały się pola w poletka i zagonki, na których nie sposób opierać egzystencji. Tylko cztery gospodarstwa w Lipcach — największe, sięgają 10 ha Większość to gospodarstwa do 4 ha. W sam raz „dla rozrywki" po pracy. Znojna to rozrywka, ale coś w tym musi być, skoro ci ludzie po ośmiu godzinach stania przy maszynie w hali fabrycznej, urzędowania za biurkiem, wykładania przy

(Dalszy ciąg na str. 6)

Józef Skrobiński — „MOTYW Z ŁODZI" (olej)

SPOTKANIE NIE – JUBILEUSZOWE

W ubiegłym tygodniu w Klubie Dziennikarza odbyło się spotkanie zespołu naszego pisma z przedstawicielami związków twórczych i stałymi współpracownikami. Spotkanie mimo iż zorganizowane z okazji 15-lecia „Odgłosów" miało charakter roboczy. Taki cel założyli sobie organizatorzy, a licznie przybyli goście swymi rzeczowymi wypowiedziami podtrzymali intencje redakcji. Wielogodzinne spotkanie stało się więc publicznym forum, na którym mówiono zarówno o roli i funkcji tygodnika społeczno-kulturalnego jak i o sprawach szerszych — o roli twórczości i działalności kulturalnej w naszym mieście.

W wypowiedziach mówcy dzielili się uwagami spostrzeżeniami odnośnie dotychczasowych słabości pisma i stanu kultury, której dokonania ostatnich lat oceniono również krytycznie. Rozmowa dotyczyła jednak głównie bliższej i dalszej perspektywy, odnosiła się głównie do przyszłości. Przedstawiciele redakcji zapoznali zebranych z ogólnymi planami działania pisma, oraz apelowali o dalszą, ściślejszą współpracę ze wszystkimi środowiskami twórczymi. Była to w sumie pożyteczna wymiana poglądów, rzeczowa i konkretna; mimo wielu wniosków kontrowersyjnych, większość z nich zostanie w praktyce wykorzystana.

Podczas spotkania zabrało głos 11 mówców. Ze zrozumiałych względów możemy tylko zamieścić omówienie ich wystąpień. Stenogram z dyskusji stanowić będzie jeden z dokumentów redakcyjnych, który pomoże zespołowi w codziennej pracy. Otrzymaliśmy też kilka wypowiedzi pisemnych związanych z powyżej omawianymi problemami. Chcemy za te wszystkie uwagi i propozycje autorom serdecznie podziękować.

A oto omówienie wypowiedzi, których sens chcieliśmy jak najwierniej, chociaż skrótowo przedstawić wszystkim Czytelnikom naszego pisma. Również przy tej kolejnej okazji apelując by chwycili za pióra i wyrazili swoje opinie o dotychczasowym kształcie pisma — i jak sobie „Odgłosy" wyobrażają w przyszłości.

JERZY WAWRZAK — red. nacz. „Odgłosów".

Serdecznie podziękował współpracownikom za wspomaganie piórami zespołu redagującego oraz za żywe, codzienne kontakty i wykazywaną troskę o wysoki poziom pisma. Zaapelował również o bliższe kontakty ze środowiskami twórczymi i poinformował, że w przyszłości zostaną zorganizowane podobne spotkania o charakterze „branżowym", gdyż ambicją pisma jest przedstawianie całego dorobku kulturalnego Łodzi. „Nasze pismo powinno stać się jednym z miejsc integracji środowisk twórczych, miejscem rodzenia się inicjatyw, poligonem dyskusyjnym, instrumentem formowania i wartościowania ocen na polu kultury... Zmuszać to nas będzie do rozszerzenia działu informacyjnego, a z drugiej strony do wprowadzenia ostrzejszej niż dotychczas selekcji, by nadawać rzeczywistym dokonaniom odpowiednią rangę i poświęcać im odpowiednio więcej miejsca". Następnie mówca zapoznał zebranych z planowanymi zmianami, które dotyczą zwiększenia objętości pisma, zmiany formatu i szaty graficznej, oraz dostosowania profilu pisma do potrzeb czytelniczych, zwiększenia atrakcyjności z jednoczesnym zapewnieniem odpowiednio wysokiego poziomu intelektualnego. „Chcemy być pismem nowoczesnym, adresowanym do szerokiego grona czytelników ze wszystkich warstw społecznych, pismem **obecnym** w naszym mieście".

EDWARD DULSKI — prezes Zarządu Oddziału SPAM.

Mówca przypomniał zarzuty dotyczące łódzkiej prasy, które zarząd pisemnie skierował do wszystkich redakcji. Podziękował redakcji „Odgłosów", która jedynie opublikowała list zajmując w tej sprawie stanowisko. Jednocześnie mówca zgłosił szereg dodatkowych postulatów odnośnie lepszego informowania społeczeństwa o życiu muzycznym Łodzi, deklarując pomoc ze strony zarządu SPAM w postaci wskazania ludzi potrafiących pisać o muzyce, informacji o osiągnięciach i sukcesach środowiska, postulując wprowadzenie problemowych działów muzycznych w pismach, kronikę bieżących imprez, reprodukowanie zdjęć twórców i wykonawców oraz przypominanie ważniejszych osiągnięć z przeszłości.

JANUSZ BUJACZ — z-ca kierownika Wydz. Kultury RN m. Łodzi.

Mówca stwierdził, że dotychczas „Odgłosy" miały charakter magazynu społeczno-literackiego, który próbował trafić do wszystkich, co jest niemożliwe. Drugi zarzut dotyczył braku głębszej selektywności w działaniu. Np. wszystkie recenzje winny się ukazywać w gazetach codziennych, a w tygodniku tylko z wybitniejszych osiągnięć. Reportaże powinny być pogłębionym obrazem naszej rzeczywistości, w połączeniu z konkluzjami ogólniejszej natury. W miejsce tekstów literackich (np. fragmentów powieści, które niewiele dają czytelnikowi) powinny być sylwetki twórców i oceny ich twórczości. Łódzki profil tygodnika powinien być zachowany, ale na tle kraju i świata. Należy zwrócić uwagę na akcenty popularyzatorskie, przygotowanie czytelników i odbiorców do ważniejszych imprez kulturalnych, którę będą się odbywać w Łodzi.

TADEUSZ DASZKIEWICZ — Uniwersytet Łódzki.

Mówca omówił sprawę czytelnictwa w Łodzi i jego tradycji w kontekście całej łódzkiej prasy, oceniając pozytywnie odbiorców, wiążąc problem masowego czytelnictwa z poziomem prasy. Stwierdził, że łódzka literatura poza „Odgłosami" nie ma więcej sojuszników. Wierszy nie drukuje się w gazetach codziennych, ŁWD nie prezentują łódzkich autorów — a są to możliwości masowych kontaktów z odbiorcą. Następnie omówił kontakty łódzkich naukowców z prasą podkreślając ich okazjonalny i niezadowalający nikogo charakter, stwierdzając, że nie ma wypracowanych form stałych kontaktów, co jest ze szkodą dla czytelników, pism i samych ludzi nauki. Następnie mówca podkreślił sprawę konieczności podejmowania tematów trudnych i drażliwych, ostrej selekcji dostarczanych do redakcji materiałów, prezentacji tylko tych autorów (twórców), którzy na to zasługują.

KAZIMIERZ IWIŃSKI — prezes Zarządu Oddziału ZASP.

Mówca stwierdził, że istnieje potrzeba pomocy teatrom ze strony prasy w zdobywaniu widza. Recenzje tu nie wystarczą, często są zdeaktualizowane. Istnieje potrzeba szerszego pisania o tym co będzie w przyszłości, o czym mogliby pisać kierownicy literaccy teatrów. Istnieje również potrzeba polemik o zjawiskach kulturalnych, a to rzadkość. Np. nikt nie podniósł problemu, jakim jest obecnie swoboda ekonomiczna teatrów, która negatywnie rzutuje na poziom repertuaru. Z drugiej strony mamy jeszcze widza nie wyrobionego. Np. wysoko ocenione przedstawienie „Hamleta" nie przyjęło się „idzie kulawo", mimo świetnych recenzji i nagród. Ważnym problemem są również przedstawienia szkolne. Młodzież nie chce tradycyjnych przedstawień dla szkół, chce uczęszczać do teatru jako „normalni" widzowie. Od lat nie można stworzyć samodzielnego łódzkiego teatru TV. Propozycje naszego ŁOT są przez warszawską centralę traktowane niewłaściwie, dużo się skreśla, a później biorą to na warsztat autorzy warszawscy. Najwyższy jest też czas ażeby w naszym mieście, gdzie są ku temu wszystkie niezbędne warunki powstał zespół filmowy. Starania od lat ze strony władz i samych twórców powinny być (jak to zrobiono w Katowicach) pozytywnie załatwione. To ożywi i zaktywizuje działalność wielu środowisk.

WIESŁAW GARBOLIŃSKI — prezes Zarządu Oddziału SARP.

Mówca stwierdził, że „Odgłosy" jako pismo milionowego miasta nie spełniają swej roli, ale że istnieją głębsze przyczyny takiego stanu rzeczy. Pismo powinno mówić o sprawach ważnych, ale skąd je u nas brać? Przypomniał istniejący w przeszłości pęd wybitniejszych twórców do stolicy, atmosferę prowincjonalizmu, która ciążyła nad wszelakim działaniem. Atmosfera zmienia się obecnie, ale zaniedbań nie da się łatwo i szybko usunąć. Musimy działać długofalowo, podejmując cząstkowe, konsekwentne działania na co dzień. Pismo winno śledzić ważniejsze wydarzenia kulturalne w kraju, łódzcy twórcy też biorą w nich udział. Do współpracy winno się przyciągnąć wybitnych krytyków spoza Łodzi, gdyż u nas jest za mało ludzi piszących o sztuce, w tym o plastyce. Za mało jest artykułów polemicznych, ostrych sporów. „Odgłosy" winny przejmować patronat w ofensywie kulturalnej na różnych planach i kierunkach.

JERZY KATARASIŃSKI — „Dziennik Łódzki".

Mówca wziął w obronę prasę łódzką polemizującą z prezesami Dulskim i Iwińskim. „Prasa nie może być panaceum na wszystko i nie może być odpowiedzialna za różne niepowodzenia twórców. Rola prasy jest pomocnicza". Teatry np. muszą działać efektywniej, żeby pozyskiwać publiczność nawet dla trudnych jak „Hamlet" przedstawień. Również prasa nie „gnębi" pisarzy i poetów nie drukując ich utworów, bo od tego są wydawnictwa, do których winno się głównie kierować pretensje. Mówca polemizował z prezesem Dulskim powołując się na swoje stare doświadczenia współpracy ze SPAM. „Nie wystarczy znać się na muzyce, stwierdził, trzeba umieć pisać dla gazety. Nie idzie to najczęściej w parze ze sobą i ogranicza możliwości powiązań między prasą a SPAM, jakby sobie tego muzycy życzyli".

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI — Związek Literatów Polskich.

Stały współpracownik naszego pisma zwrócił szczególną uwagę na sprawę odbiorcy pisma, do kogo jest ono adresowane? Duży potencjał czytelniczy to urzędnicy. „A to nie są ci, których się za wszystko wini". Dla nich trzeba pisać i o nich, bo na ten temat panuje wiele niesprawiedliwych mitów i sądów. Nasza prasa za mało poświęca uwagi plastyce użytkowej, a pod tym względem Łódź jest potęgą. W innych krajach są nawet specjalne pisma poświęcone tej problematyce. W „Odgłosach" brak jest felietonu naukowego, czegoś w rodzaju rubryki jaką prowadzi Iłłowiecki w „Polityce". Ale ważną sprawą jest dla odmiany, żeby pismo nie miało akademickiej powagi, a było możliwie atrakcyjne.

DOC. DR WŁADYSŁAW BORTNOWSKI — Uniwersytet Łódzki.

Na wstępie mówca stwierdził, że dyskusja poszła zbyt po torze kulturalnym, a dotyczy ona tygodnika społeczno-kulturalnego. Czytelnik szuka obu tych nurtów i redakcja musi trzymać się „złotego środka". Redakcja próbuje w ostatnim okresie coś w tym kierunku działać, ale efekty są jeszcze nie najlepsze. „Odgłosy" nie będą miały nigdy masowego odbiorcy, wzrost nakładu o tym nie przekonuje. Pismo musi szukać bardziej konkretnego adresata, trafiać w nurt czytelniczych zainteresowań, a tematów nie brakuje. Konieczny jest np. związek ze środowiskiem akademickim, które jest nieco zagubione w mieście. Sprawa recenzji i ocen: jest ich zbyt wiele „na tak". Czytelnik jeśli przekona się, że go „oszukano" nie wierzy pismu ani recenzentowi. Zbyt wiele tendencyjnie pozytywnych ocen to dowód naszego prowincjonalizmu. I wszyscy na tym tracimy — i twórcy, i czytelnicy. Ludzie wchodzący w skład danych środowisk powinni się spod ich presji uwolnić i wypowiadać się bezkompromisowo.

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI — redaktor nacz. „Gazety Ziemi Piotrkowskiej".

Mówca zwrócił uwagę, że nie istnieje problem, czy „Odgłosy" mają być pismem elitarnym czy masowym. Istnieje konieczność przynajmniej podwojenia nakładu. Są duże rezerwy czytelnicze w województwie, gdzie pismo jest mało obecne, a w niektórych powiatach prawie wcale nie czytane. Trzeba jednak o problemach województwa więcej pisać, poruszać istotne problemy środowiska wiejskiego, inteligencji na wsi i w małych miasteczkach. Penetrować te sfery społeczne, o które się zaledwie ocieramy. Trzeba ludziom udowodnić, że pismo interesuje się naprawdę kulturą przez duże „K", wtedy zdobędzie poczytność i autorytet.

MAREK KULIŃSKI — Klub Dziennikarzy Studenckich.

Przedstawiciel KDS-u stwierdził, że środowisko studenckie czuje się zaniedbane i pomijane przez środki masowego przekazu. Klub działa od 4 lat, ale bez większych rezultatów. Studenccy działacze są rozczarowani, że ich dorobek: teatry, grupy literackie, koła naukowe, prace magisterskie — nie są zauważane. A są to osiągnięcia, choćby „Teatru 77", istotne. Dziennikarze studenccy nie chcieliby być petentami, lecz partnerami pism. Chcieliby także pomocy, jakiejś formy opieki ze strony dziennikarzy zawodowych, co mogłoby satysfakcjonować obie strony. Są więc w tym zakresie duże niewykorzystane możliwości przedstawienia poglądów o środowisku studenckim przez samych studentów, co daje rękojmię autentyczności.

JADWIGA ŁUŻYŃSKA-DOROBOWA — uczelnie artystyczne.

„Pracuję w 3 środowiskach akademickich i z uwagą obserwuję recepcje kultury w tych środowiskach. Stwierdzam, że same środowiska twórcze za mało popularyzują swą twórczość. Tygodnik ich w tym nie wyręczy". Obecne formy magazynowe gazet codziennych nie są konkurencją dla tygodnika, tylko uwalniają go od wielu spraw. „Odgłosy" próbowały ostatnio podejmować problemy dyskusyjne np. „Spór o krytykę", ale brakło konsekwencji i głębszego zaangażowania autorów zabierających głos. W Łodzi są kompetentni krytycy, trzeba ich tylko znaleźć. „Import" nazwisk z innych ośrodków nie rozwiąże sprawy. Mówczyni potwierdza pretensje środowiska studenckiego, które czuje się wyobcowane w mieście. Wypowiada się na rzecz ostrzejszej selekcji materiałów literackich. Redakcja nie powinna się bać podnoszenia poziomu, bo trzeba twórczo oddziaływać na odbiorcę, bo taki jest odbiorca jaka jest kultura masowa. Inaczej zawsze będziemy kręcić się w tym samym kole. Magazyn popularny, jak próbują to robić inne pisma, nie jest najlepszą formą, bo łatwo w powodzi drobiazgów, które są może interesujące, zgubić istotne problemy.

OD REDAKCJI: Jak wspomniano wyżej chcemy kontynuować tę pożyteczną formę dyskusji i sondażu wśród czytelników i środowisk społeczno-kulturalnych. Najbliższe spotkanie, jeszcze w kwietniu, odbędzie się na forum Zw. Literatów Polskich. Na pewno przyniesie ono rozwiązania, które usuną wątpliwości dzisiejszych dyskutantów odnośnie strony literackiej naszego pisma.

Jeszcze raz dziękujemy wszystkim uczestnikom za uwagi, szczególnie za te krytyczne, gdyż pozwolą nam one robić lepsze pismo i lepiej wywiązywać się z roli, do której jesteśmy powołani. Rozmowy te są dla nas niezwykle korzystne, bo umacniają nas w naszych poglądach, zwracają uwagę na niedostrzeżone jeszcze zagadnienia i rodzą nowe wątpliwości, co też ma swoją wartość...

ODGŁOSY

PRZY STOLE

Dwa dni zbliżających się świąt — bo choć „Odgłosy" ukażą się z datą pierwszego święta, to przecież w kiosku będą kilka dni wcześniej — spędzimy zapewne jak współczesny obyczaj każe: przy stole własnym lub u krewnych. Nawet ładna pogoda nie wszystkich wypędzi z domu. A jak będzie stół, to znajdzie się na nim coś do picia, co nie będzie ani herbatą, ani — tym bardziej — kawą. A jak będzie coś do picia, to będą i toasty. Te najprostsze: **„Abyśmy zdrowi byli", „Zdrowie gospodarzy", „Zdrowie gości"** — gospodarze zaraz się zrewanżują — a potem **„Zdrowie pań po raz pierwszy"** i **„Aby nam się dobrze działo".** Przy okazji wypijemy zdrowie popularnych solenizantów zaległego sprzed dwu dni Czesława i aktualnego, przypadającego na świąteczny poniedziałek, Jerzego. A więc **„Zdrowie solenizantów"!**

Ubogie są jednak nasze toasty. Modne były kiedyś toasty gruzińskie, opowiadane raczej jako dowcipy, niż wykorzystywane w praktyce. Zapamiętałem jeden, bardzo zresztą sympatyczny: Brzmi on tak:

„Wypijmy za drzewa, z których zrobią nasze trumny, oby stały te drzewa wiecznie". I jeśli już mowa o toastach, to chciałbym życzyć Czytelnikom, aby toastów było mało, tyle tylko, ile wymaga sytuacja, aby były ciekawsze niż te, które wcześniej cytowałem i abyśmy wypili w miarę, aby wieczorami, w kolejkach na taksówkowych postojach obyło się bez awantur.

Świąteczne spotkania w gronie rodzinnym, czy u przyjaciół nastrajać będą do rozmów o naszych codziennych sprawach. Taką już mamy naturę, że ilekroć spotkamy się w większym gronie, ilekroć wygłosimy kilka najprostszych toastów, to zaraz rozmowa schodzi na sprawy natury ogólnej. Ponarzekamy więc sobie odrobinkę, a potem zaczniemy naprawiać Rzeczpospolitą. Nie wiem, jak to się dzieje, ale mamy olbrzymi zestaw znakomitych pomysłów, którymi każdy chętnie błyskałby przy biesiad-

Dalszy ciąg na str. 4

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

W artykule poświęconym ewolucji reportażu łódzkiego od jego początków aż po rok 1939 („Odgłosy" nr 4 z 28 stycznia 1973 r.) starałem się ukazać jak wielką rolę przypisywali temu gatunkowi literackiemu zwłaszcza intelektualiści lewicy. Zdawać się więc mogło, że zmiana warunków społeczno-politycznych, powstanie Polski Ludowej, spowoduje niemal automatycznie kolejną nobilitację reportażu. Tak się jednak nie stało, a przynajmniej proces ten nie odbył się gładko. Miał rację stary Karol Irzykowski, gdy jeszcze w r. 1913 przestrzegał:

„Rewolucja jest to stan, w którym się dokonywa rewizja życia u podstaw i gwałtownie wyłaniają się nowe wartości. Literatura zaś wzorować się może na rewolucji tylko o tyle, o ile sobie przez dany jej przykład przypomni swoje własne zadania".

Jest rzeczą zastanawiającą, jak niewiele uwagi poświęciła reportażowi wychodząca w Łodzi, marksizująca przecież „Kuźnica".

KONRAD FREJDLICH

Puls czasu

Literatura faktu pierwszych powojennych sezonów reprezentowana jest głównie przez prozę wspomnieniową i pamiętnikarską. Był to naturalny odruch, próba rozliczenia się z grozą okupacji i trzeba stwierdzić, że wśród tych pamiętników jest przynajmniej kilka pozycji ogromnej wartości. Mniej znaczy reportaż; usiłowano zaprząc reportaż do służby w beletrystyce. W rezultacie powstała nam cała dziedzina literatury określanej dzisiaj dość ironicznym mianem — produkcyjna. Literatura rozległa, gdy idzie o jej dorobek ilościowy.

Zastosowanie techniki reportażowej w powieści mogło przynieść interesujące rezultaty pod warunkiem jednak, że zachowane zostaną zasady obowiązujące bezwzględnie w literaturze faktu, a więc odnoszące się przede wszystkim do faktografii. Najczęściej jednak mieliśmy do czynienia ze zjawiskiem naginania faktów. W niewielkiej rozmiarami próbce reportażowej nie byłoby to nawet rażące i łatwo mogłoby zostać usprawiedliwione dziennikarskim pośpiechem, ale w powieści musiały się skompromitować te doraźnie robione uogólnienia. Zachodził tu bowiem konflikt pomiędzy doraźnością przedstawionych zjawisk i niejako ponadczasowością ich oceny, a co gorsza był to swego czasu model literatury mającej za sobą oficjalne uznanie i poparcie. Nie potrafił go udźwignąć nawet tak genialny pisarz jak **Tadeusz Borowski.**

Gdyby równolegle rozwijała się powieść pozbawiona tych doraźnych akcentów, wzajemne oddziaływanie na siebie literatury faktu i beletrystyki mogłoby przynieść, jak to jest dzisiaj, ciekawe artystycznie rezultaty. Ale poznawcza i intelektualna wartość tamtych prób nie przewyższała na ogół przeciętnej broszury propagandowej o agitacyjnym charakterze, a często mieliśmy nawet do czynienia z podobnym, wiecowym językiem. Był to bowiem obraz raczej życzeń skierowanych pod adresem rzeczywistości, niż samej rzeczywistości w jej dramatycznych splątaniach.

Nie znaczy to jednak, że cała twórczość literacka okresu produkcyjnego zasługuje na odrzucenie, zdarzały się bowiem dzieła wybitne (choćby „Pamiątka z Celulozy" **Igora Newerlego),** które z powodzeniem wytrzymały próbę czasu. A to, co powiedziałem ogólnie o sytuacji literatury, odnosi się także do reportażu, który z reguły trąci schematyzmem, lecz i w tej dziedzinie możemy odnaleźć publikacje godne odnotowania, które są żywe po latach. Ocenę tę można rozciągnąć również na reportaż tematycznie związany z Łodzią, choć warto jednocześnie zwrócić uwagę na dość zaskakujący fakt: prawie żaden z wielkich reportażystów okresu międzywojennego nie próbuje powtórki z tematu, pojawiają się nazwiska dla reportażu nowe. Warto na przykład zwrócić uwagę na reportaż **Władysława Rymkiewicza** „Prządki z czwartej lewej", zamieszczony w książce, która, o paradoksie, nosi tytuł „Cztery opowiadania". **Leon Gomolicki,** późniejszy autor „Białego runa" publikuje „Tajemnicę trzynastki". Ten zagadkowy tytuł nosiła niewielka książeczka opowiadająca o pracy brygady robotniczej w zakładach bawełnianych. Pisze również quasi-reportażową książkę **Seweryna Szmaglewska.** I kiedy dziś czyta się te książki, uderza ograniczoność obserwacji, a także swoisty szyfr problemów, który jednak wiernie oddaje myślową przynajmniej atmosferę tamtego czasu.

Przełom październikowy sprawił, że reportaż znowu związał się z rzeczywistością, odzyskując natychmiast swoją utajoną siłę. Badacz tego okresu natrafia na kłopot szczególny, bo kłopot bogactwa. Każdy bez mała tydzień przynosił nowe nazwiska i nowe tendencje, więc pełna rejestracja tych zjawisk jest zadaniem przerastającym właściwie siły jednego człowieka. Najogólniej mówiąc pojawiło się wiele nazwisk twórców, którzy przez reportaż dochodzili do „czystej" literatury; byli wreszcie i tacy, dla których reportaż stanowił zasadniczy trzon ich pisarskich poszukiwań **(Stefan Bratkowski, Stefan Kozicki, Tadeusz Szewera, Wojciech Adamiecki, Tadeusz Strumff).** Słowo reportażysta oznacza dzisiaj przecież pisarza uprawiającego literaturę faktu.

Na ogół jednak beletryści odwrócili się od reportażu, co jak mi się wydaje, jest świadectwem pewnego uprzedzenia. Jest to ogólnopolska reguła, która może najmniej sprawdziła się w Łodzi. Dwutygodnik „Kronika", zacna prababka „Odgłosów", zamieszczał przecież regularnie reportaże, które wyszły spod piór pisarzy uprawiających poezję, dramat czy powieść. Aktywnym reporterem jest w tym czasie **Jerzy Waleńczyk, Mirosław Ochocki, Tadeusz Papier, Wacław Biliński. Bohdan Drozdowski** publikuje na łamach „Życia Literackiego" głośny cykl reportaży poświęconych zaniedbaniom powojennym w Łodzi. Zajmują się problematyką łódzką także reporterzy pozałódzcy i bez wątpienia z ich prac można by sporządzić pokaźną antologię.

Wciąż jednak brakowało publikacji, która usiłowałaby przynajmniej spróbować reporterskiego opisu miasta jako całości. Ten nienormalny stan został przełamany z chwilą powstania „Odgłosów", które są w całych dziejach Łodzi najdłużej wychodzącym czasopismem społeczno-kulturalnym, a więc doceniającym rolę reportażu, a nawet mecenatu nad nim. Dowiódł tego zwłaszcza ogłoszony przez nie konkurs pt. „Opisanie Łodzi", co wskazuje niedwuznacznie na odwołanie się do flattowskiej tradycji. Wiosną 1960 r. stanęło w szranki czterdziestu reporterów wśród których nie brakowało najgłośniejszych nazwisk: **Aleksander Rowiński, Jerzy Ambroziewicz, Janusz Roszko, Andrzej Krzysztof Wróblewski, Stefan Kozicki, Wojciech Adamiecki, Zbigniew Kwiatkowski.**

„Czy korzystali z inspiracji? — pisał później Wiesław Jażdżyński we wstępie do książki „Ucieczka przedmieścia", stanowiącej poplon tych reporterskich zmagań. **— Raczej nie. Owszem, wysłuchali wypowiedzi socjologów, architektów, ekonomistów łódzkich, owszem, objechali wspólnie rozległe miasto, nie obyło się także bez trochę może nawet uroczystej odprawy ze strony władz miejskich i partyjnych, które życzliwie wsparły inicjatywę redakcji tygodnika „Odgłosy". Jeżeli coś mogło do pewnego stopnia krępować autorów książki, to chyba fakt, że o przypadającej im do opisania dzielnicy decydowało... losowanie. No, ale na to rady nie było, organizatorzy chcieli, aby przynajmniej po dwóch reporterów penetrowało każdą spośród naturalnych dzielnic miasta".**

Wśród laureatów, co było nieco zaskakujące wobec ogólnopolskiej konkurencji, znaleźli się także łodzianie: Karol Badziak, Krzysztof Pogorzelec, Roman Łoboda i Feliks Bąbol. Był to pierwszy, wyraźny już symptom, że Łódź dysponuje wcale pokaźnym zapleczem reportażystów, choć nie potrafiła tego udokumentować twórczością trwalszą niż doraźna publikacja prasowa. Trzeba było dopiero czekać na tom **Andrzeja Makowieckiego,** który w roku 1970 ogłosił błyskotliwą książkę „Przepis na wymianę twarzy" w przeważającej mierze poświęconą tematyce łódzkiej.

Obok tych książek nie brak publikacji skromniejszych, choć równie ważnych, już choćby ze względu na to, że prezentują Łódź na tle innych ośrodków kraju. Taką pracą jest choćby reportaż **Stefana Kozickiego** „Pierwszy po masarzu" zamieszczony w książce „Nie ma ucieczki od ludzi" i podejmujący ważki problem spółdzielczości mieszkaniowej. Nie można pominąć w tych przypomnieniach także reportażu **Wojciecha Adamieckiego** pt. „Przy głównym trakcie", który przedstawia losy kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 25, a zamieszczony został w tomie „Giełda bohaterów". Wreszcie **Stefan Bratkowski** ukazał rolniczą Łódź w pasjonującym reportażu „Nie będzie balu dla weteranów" od którego wziął tytuł cały zbiór firmowany także przez **Janusza Roszkę.**

Mimo tych jasnych kart można mówić o stosunkowym ubóstwie. Młoda, lecz przecież niejednokrotnie tragicznie doświadczana Łódź, skromniutko reprezentowana jest w reportażu historycznym, tak dziś przecież modnym i poczytnym, jak tego dowodzi pisarstwo **Mariana Brandysa.** Próby **Jerzego Urbankiewicza** zaliczyłbym do mniej udanych, trzeba by je ulokować gdzieś pomiędzy felietonem a gawędą, czy szkicem popularno-historycznym. Pozostanie więc nam jedynie **Tadeusz Szewera** ze swoją pełną zadumy i wdzięku książką „O Szekspirze, lwie czarnym i wąsach Reymonta", na której kartach przypomniał między innymi łódzki wkład w powstanie styczniowe, docierając zresztą do potomków bohaterów bitwy pod Dobrą Także **Wiesława Jażdżyńskiego** „Reportaż z pustego pola" jest książką reprezentującą ten ambitny rodzaj pisarstwa; jest zarazem jedyną obszerniejszą relacją o hitlerowskim obozie dla dzieci przy ulicy Przemysłowej.

Nie potrafi sobie także łódzki reportaż, podobnie jak to było w przeszłości, poradzić z tematyką ludzkiej pracy, a przecież tu upatrywałbym jego główną i najpierwszą szansę. Wprawdzie nie sprawdziła się literatura produkcyjna, ale to właśnie, co niedostępne jest prozie, co ją ogranicza, może być udźwignięte przez trzeźwą, rzetelną relację reporterską.

Nie oznacza to oczywiście, że przeciwstawiam prozę fikcji i prozę faktu, dając którejkolwiek pierwszeństwo. Są to właściwie zjawiska artystycznie nieporównywalne i dlatego trzeba rozpatrywać je osobno. Nieporównywalne, ale przecież uzupełniające się wzajemnie i dlatego pokusa porównań jest tak silna. Chce się bowiem zapytać, jaki jest obraz Łodzi zawarty w dziesiątkach reportaży w zestawieniu z tą wizją, jaką dają nam liczne powieści i opowiadania o mieście pracy — a trzeba stwierdzić, że szczególnie wiele powstało ich w ostatnich latach. Obserwujemy bowiem odwrotność zjawiska charakterystycznego dla lat pięćdziesiątych: beletrystyka wkracza w te dziedziny, gdzie tak silnie zadomowił się reportaż sensu stricto lub też powieść reportażowa. Jest to naturalna chyba kolej rzeczy, gdyż wiele zjawisk społecznych, obyczajowych i psychologicznych domaga się artystycznego uogólnienia, zwłaszcza że chodzi o sprawy, wobec których stać już nas na tak niezbędny dystans. Ale chociaż te próby beletrystyczne operują szeroką skalą historyczną, brak jest wciąż utworu stanowiącego sumę zjawisk i spraw określających to miasto nazywane w przeszłości Polskim Manchesterem, Bawełnianym Grodem, Złym Miastem a także Czerwoną Łodzią. Nawet cykl powieści historycznych **Władysława Rymkiewicza** („Trzystu pod Dobrą", „Widok z Księżego Młyna", „Czas pojedna, trawa porośnie") włączywszy do niego „Ucieczkę z Ziemi Obiecanej" stanowić może bardzo niedoskonały, bo dalece niepełny, substytut takiej książki. Nie robię z tego zarzutu, bo nie ma takiej powieści także o Warszawie, Krakowie a nawet Paryżu portretowanym przecież dziesiątki razy w literaturach wielu narodów. Wydaje się nawet, że zbiorowy portret miasta będzie raczej dziełem reporterów niż beletrystów; portret może chropawy i postrzępiony, ale najpełniejszy z możliwych.

Trzecia młodość Łodzi, gigantyczny program modernizacji i przebudowy Łodzi, stwarza reportażowi o tym mieście szczególnie korzystne szanse. To nie przypadek, że w ostatnim okresie czasu ukazało się tak wiele publikacji dziennikarskich poświęconych naszemu miastu na łamach prasy krajowej.

Pablo Picasso, Jean Cocteau, Luis Dominguin, Serge Lifax oraz pani Picasso i żona Dominguina Lucia Bose.

Portret Deraina (1919)

Statua (1925)

Trzy gracje (1921)

Nazywał się Ruiz Blasco. Jego pełne nazwisko brzmiało: Pablo Diego Jose Francisco de Paula Juan Nepomuceno Cripin de la Santissima Trinidad Ruiz Blasco y Picasso. Cały świat znał go jako Pablo Picassa.

Urodził się w 1881 roku w Maladze, studiował w Barcelonie i Madrycie, aby w roku 1904 przenieść się na stałe do Paryża, gdzie przeżył blisko siedemdziesiąt lat. Stworzył tysiące dzieł, z których bodaj najsłynniejsze to: „Kuglarze", „Panny z Avignon", „Guernica", czy w końcu seria „portretów Jacqueline"...

Mieścił w sobie kilka epok sztuki współczesnej i był zarazem zupełnie odrębną epoką malarstwa.

„ODBIJANY"

Przeczytałem „Odbijanego" i stwierdzam, że zupełnie istnieje prawo „wdzierania się do alkowy i pisania o tych sprawach". Piszący ma prawo piętnowania tego, co się dzieje, bo nasza pseudointeligencja zaczyna podgrywać Zachód. Przed wojną to trzeba było ganiać za pracą, pomocy nie było jak teraz. A dziś roboty, ile się chce i trzeba się jeszcze kłaniać, aby ludzie chcieli pracować, aby nie pili i po pijaństwie nie przynosili zaświadczeń lekarskich o ciężkiej chorobie. Pisać trzeba więc prawdę, bo Polakom prędko woda sodowa uderza do głowy.

W „Odbijanym" to jest tak, jak napisano, przykład idzie od starszych, oni młodym pokazują taki zwyrodniały przykład zbliżenia fizycznego.

Ta kobieta, o której pisze Andrzej Makowiecki, co to łzy przed nim roniła, bo ją mąż zmuszał do tego, aby „wespół zespół", to zwykła dz..., jak by tego nie chciała, to by nie robiła. A potem mąż by jej nie łżył i nie opuszczał.

Ja mam też sąsiada, emeryta, co sprowadza prostytutki i po wódkę posyła swego wnuka, 15-letniego chłopca i namawia go do picia. Ale chłopiec nie chce pić, tylko dziada z forsy obiera.

ANZELM BREJA
Tuszyn-Las

JAK DAWNIEJ JADALI POLACY?

Gdyby nie telewizja, to nasze świąteczne obyczaje pozostałyby prawie takie same jak obyczaje przodków. Tradycja nakazuje bowiem jeść przez całe święta: u siebie, u sąsiadów, u kuzynów, u babci, u pana kierownika. Po świętach leczymy lekkie protesty wątroby i żołądka, mierzymy się w talii centymetrem i melancholijnie stwierdzamy: — znów nam przybyło 3 cm. Co by się tam nie mówiło o świątecznych programach telewizji, to są one przerywnikami w rodzinnym obżarstwie. Niektórzy jednak doszli już do tego, że warkot włączonego telewizora nie przeszkadza im w jedzeniu. Nie uwierzę jednak, że ktoś, kto jednym okiem ogląda panią Irenę Dziedzic, a przy tym wkłada do ust szynkę z chrzanem lub świąteczną babkę, odczuwa taką samą przyjemność jaką dla naszych przodków było jedzenie. Myślę, że nadszedł już chyba czas, aby ktoś z naukowego punktu widzenia zbadał tak istotny problem, jakim jest wpływ telewizji na procesy trawienia.

W tym miejscu proponuję przerwać lekturę i **wziąć sok z dwu pomarańcz, dwie łyżki soku malinowego z cukrem, dwie łyżki cukru, kieliszek koniaku, dwie łyżki tłuczonego lodu i wymieszać to wszystko dokładnie w mikserze.** Rozlać do szklaneczek i do każdej włożyć kostkę lodu. Rozcieńczyć odrobiną wody sokowej i pić podczas dalszej lektury.

Chciałam bowiem zaproponować Państwu krótki wybór uciesznych przepisów kulinarnych z czasów, kiedy jeszcze nikt nie przypuszczał, że będzie telewizja. Najpierw kilka receptur z książki wydanej w 1821 roku: **„KUCHARKA MIEYSKA, I WIEYSKA, albo sposób gotowania rozmaitych mięśnych, postnych i rybnych potraw, tudzież robienia ciast, tortów, etc. Na trzy rozdziały podzielona: w których się znayduie sto mięśnych, sto postnych i sto rybnych potraw".** (Uwaga, linotypiści i korekta! Proszę nie zmieniać pisowni, to nie są błędy tylko język oryginału!).

NAYOSOBLIWSZY TO IEST SPOSÓB GOTOWANIA ŻWIERZYN RÓŻNYCH OKOŁO KTÓRYCH PILNOŚĆ WIELKĄ ZALECAM. Weź świeżego żubra albo łosia, jelenia albo daniela, sarnę albo dziką kozę, albo co chcesz z części mięsistey, porąb w sztuczki, a nie mocz i nie płócz. Włóż w naczynie gliniane, ociągniey w maśle i cebuli usmaż nie mało, z jabłkami przewarzonemi zmieszay, a zrób z tego gęscz, pietruszki nie mało w kostkę nakray, soli według smaku, naley rosołem, a warz nakrywszy, a gdy wpół przewrze, wley octu winnego, nakray limonii, rozynek oboyga, pieprzu, cynamonu, goździków, gałki, słodkości, podsadź dobrze a day na stół.

SEKRET KUCHARSKI, KAPŁUN CAŁKIEM WE FLASZY. Weź kapłuna dworowego, ochędóż pięknie, zdeym z niego skórę całkiem, tak ostrożnie, żebyś dziury naymnieyszey nie zrobił, a członki, z których się skóra zdiąć nie może, poprzerzynay, żeby się przy skórze zostały. Włóż tę skórę we flaszę taką, w którey będzie dziura w szrubie, żebyś trzy palce włożył. A trzymayż tę przerzniętą skórę w dziurze, weź żółtków szesnaście, rozbiy, przyday trochę mleka, zapraw iak chcesz, wley łoiu w tę skórę z kapłuna, trzymaiąc zaszyy i puść we flaszę, wody wley pełną flaszę, zasól, zaszrubuy, albo pęcherzyną zawiąż. Włóż w kocieł wody i warz, a gdy ociągnie, te żółtka z mlekiem rozedmą kapłuna tak, że się będzie każdy dziwował, iak tam tego włożono kapłuna, gdy go dasz z flaszą na stół, a kto tego nie wie, nie będzie bez podziwienia wielkiego.

GOTOWANIA STA POTRAW RYBNYCH. BOBROWE OGONY. Odwarzywszy ogon bobrowy, który, ieżeli chcesz możesz w sztuki porąbać, który w occie i soli odwarzywszy, wierć czosnku iak masło, ostu winnego, oliwy albo masła, przywarz i day na stół.

ŚLIMAKI. Odwarzone ślimaki, siekane albo całkiem włóż w rynkę, nakray czosnku drobno, wley oliwy albo masła, soli, przywarzywszy, kładź w skorupę, a day.

ŻÓŁWIE. Takiemi sposobami żółwia gotować będziesz, któremu wprzód żywemu poucinay nogi i głowę, odwarzywszy pięknie odbierz, skorupę wierzchnią pięknie solą ochędóż, na którą żółwia włożysz i dasz na półmisku, możesz też biało gotować iak kurczę, i ze serdalami iak szczupaka.

Proszę mi uwierzyć, że wśród pozostałych 97 potraw rybnych, były również i te z prawdziwych ryb.

TORT Z PISTACI. Weź pistaci, potłucz, iąderka ochędóż, utłucz w moździerzu, zmieszay z cukrem i rozynkami drobnemi, cynamonu, masła niesłonego i iaiec parę, nałóż ten tort z ciasta francuzkiego, albo włoskiego, albo angielskiego.

Ponieważ mogła już Państwa zmęczyć ta staropolszczyzna następne przepisy pochodzą już z czasu późniejszego, z **„PORADNIKA DLA POLSKICH GOSPODYŃ"**, wydanego **„NAKŁADEM KSIĘGARNI POPULARNEJ W WARSZAWIE".** Jest to **„NAJNOWSZA KUCHNIA WARSZAWSKA" zawierająca przeszło 1200 przepisów różnych potraw od najskromniejszych do najwykwintniejszych, które ułożyła ANIELA OWOCZYŃSKA.** Roku wydania książki nie mogę podać, bowiem w tym czasie niektórzy wydawcy mieli ten brzydki zwyczaj, że nie drukowali daty ukazania się książki. Pisownię podaję również za oryginałem.

ZUPA KALTESZAL. Zagotować dużą butelkę bawarskiego piwa z 1/4 funtem cukru, cynamonem i skórką z cytryny. Gotujące wlać do wazy, gdzie są dwa rozbite żółtka, dobrze razem zmieszać. Dodać szklankę czerwonego wina i dosypać 1/4 funta oczyszczonych rodzynek, również wcisnąć sok z całej cytryny. Potem wszystko ostudzić na lodzie. Podaje się do zupy kawałki osuszonego pod blachą żytniego chleba.

SERDELOWE MASŁO. Dwa śledzie dobrze umyć, potem obrawszy z ości posiekać. Bierze się sporą łyżkę masła do rondelka i wkłada w nią dobrze usiekaną cebulę; potem, gdy ta zrumieniona, to w masło wkłada się posiekane śledzie i smaży się wszystko razem z kwadrans. Potem się całą masę przeciera przez sito. Przetarte masło trze się tak długo, póki nie zgęstnieje. Podaje się do śniadania ułożone w płaskie plasterki.

KULEBIAKA Z WYZIGĄ. 1/4 funta wyzigi można dostać u Kuryluka, wogóle gdzie słone rzeczy, wymoczywszy godzinę w zimnej wodzie, pokrajać i ugotować, uważając, aby się nie rozleciała. Pokrajać drobno dwie cebule i usmażyć je w sporej ilości masła, rozetrzeć w tem łyżkę mąki, dołożyć potem tę okrajaną wyzigę, posolić ją i popieprzyć. Osobno udusić w maśle kilka kawałków szczupaka, obranego z ości; dołożyć dwa jajka, ugotowane na twardo i pokrajane w plasterki. Ciasto drożdżowe już naprzód przygotowane rozwałkować i podzielić na dwa kawałki. Na spodzie ułożyć wyzigę razem z pokrajaną cebulą, potem na tem ugotowaną rybę, obłożoną plasterkami jaj, a na tem znów wyzigę. Na wierzchu znów rozwałkowaną drugą połowę ciasta. Postawić to na ciepłem miejscu na godzinę, nawet dwie, aby rosło, poczem piec godzinę w nie bardzo gorącym piecu.

PAWIE. Pawica ma mięso białe i delikatne, jak indyczka. Po zabiciu powinny wisieć przez kilka dni jak indyczki. Gdy skruszały, nadziewa się je i piecze w piecyku na maśle, ciągle je polewając masłem. Można je naszpikować drobno pokrajaną w paski młodą słoniną.

Aby się pawie pióra nie zmarnowały, pani Aniela Owoczyńska podaje też sposób fryzowania piór: „Pióra się trzyma ostrożnie nad tlącemi się węglami, posypane miałkim cukrem. Wtedy kurczą się od gorąca i same się fryzują".

NOWACYA. Rybki te są niedrogie, a przytem smaczne. W sklepach z rybami można je dostać przez całą zimę. Macza się je w jajku po osoleniu, obsypuje się tartą bułką i smaży na maśle. Podaje się do nich sos cytrynowy lub pomidorowy.

ZIELONE ŻABKI. Żabki zielone najsmaczniejsze bywają z końcem lata i w jesieni. Zjada się z nich same udka. Udka te obciąga się ze skóry i dobrze wypłukać, potem się je wkłada w ocet, soli i pieprzy. Następnie macza się je w mące i smaży na gorącym maśle. Przed wydaniem obsypuje się je zieloną pietruszką.

OSTRYGI. Istnieje kilka gatunków ostryg, które się do nas sprowadza, przeważnie ostendzkie, także angielskie. Ostrygi należy otwierać ostrożnie nożem kuchennym lub specjalną maszynką, aby je nie uszkodzić. Układa się je po kilka na talerzykach, a każdej osobie podaje się taki talerzyk wraz z cytryną.

BABKA ŻÓŁTKOWA. Rozbić kopę jaj. Żółtka wrzucić do makotry, wsypać do nich pół funta mąki, ośm łutów drożdży. Rozbić dobrze z żółtkami i odstawić w ciepłe miejsce. Skoro ciasto podrośnie dolać jeszcze pół funta sklarowanego i ostudzonego masła, rozbić dobrze, funt cukru i dosypawszy jeszcze pół funta mąki mocno rozrobić i wlać w wysmarowaną formę, obsypaną tartą bułką.

PIOŁUNÓWKA. Dwie garście świeżych liści piołunowych włożyć do garnca spirytusu, rozprowadzonego garcem wody. Postawić w chłodne miejsce, a gdy spirytus naciągnie zlać go i używać.

Dla przypomnienia: funt zawierał 32 łuty i to się równało 409,5 grama. Jeden łut — 12,8 grama. Kopa — 60 sztuk. Garniec — staropolska miara objętości, zawiera 4 kwarty równe 4 litrom.

Zdaję sobie sprawę, że wybrane dla Państwa przepisy są dziś raczej niemożliwe do wykorzystania. Mniejsza o świeżego żubra, skoro są pod ochroną, ale gdzie szukać „Kuryluka, wogóle gdzie słone rzeczy", u którego można było zawsze kupić 1/4 funta wyzigi. Zrobiłam to i dla przypomnienia starych obyczajów kulinarnych i dla zabawy. Dla tych, którzy mieliby ochotę przygotować na świąteczny stół coś staropolskiego, podaję przepis, który wydał mi się i realny i w miarę prosty.

„POLEWKA Z BIAŁEGO WINA. Zagotować dwie szklanki białego wina ze szklanką wody i sześcioma kawałkami cukru. Osiem żółtek mocno trzepaczką rozbić w garnku i mieszając ciągle zalać gotującym winem. Następnie wlać w filiżanki i podać gorące z grzankami".

Jest to danie, którym niewątpliwie można zaskoczyć gości. **SMACZNEGO I DOBREGO ODBIORU ŚWIĄTECZNEGO PROGRAMU TELEWIZJI** życzy Państwu

BOGDA MADEJ

PRZY STOLE

(Dalszy ciąg ze str. 2)

nym stole, ale z którymi rzadko zdradza się w codziennym życiu. A przecież każdy z nas ma różne okazje do tego, aby podzielić się tymi pomysłami, z innymi, aby zastosować je u siebie w pracy, a nie tylko przy świątecznym stole, czy na imieninach u cioci.

Dlaczego tak się dzieje? Zdarza się i tak, że naprawdę dobry pomysł nie znajduje uznania, że ludzie ostrożni, którzy nade wszystko przedkładają spokojne życie, niechętni są nowym pomysłom. Ale z drugiej strony — już dawno wielu z nas zauważyło, że jeśli my nie będziemy występowali z inicjatywami, jeśli nie będziemy dobrze pracowali, to nie zmienimy tego kraju, a zmienić go przecież trzeba. Od dawna wiadomo, że ten kto nie posuwa się do przodu, nie nadąża za innymi, ten nie tylko stoi w miejscu, ale też cofa się.

Przy świątecznym stole będziemy zapewne chwalić cudze, dziwować się, że w innych krajach — a u naszych sąsiadów przede wszystkim — zrobiono już wiele, że w niektórych dziedzinach znacznie nas wyprzedzono. To prawda, ale prawdą jest też i to, że i my w ostatnim okresie zrobiliśmy też sporo. Sporo — między innymi — nadrobiliśmy braków i zaniedbań. Że nie we wszystkich dziedzinach nastąpił spodziewany i niezbędny postęp? To też prawda, ale ten postęp zależy tylko od nas. A więc nasze niezadowolenie do nas samych powinniśmy adresować. Bywa jednak i tak, że uważamy iż **„my"** robimy wszystko dobrze, a źle — to **„oni".**

Zauważył to w ostatniej „Kulturze" prof. Bogusław Leśnodorski i zwierzył się z tego Jerzemu Mikke. Profesor powiedział:

„I jako historyka i jako prawnika niepokoi mnie zgoła dziwaczny styl myślenia i mówienia pewnej części naszego społeczeństwa. Przejawia się on w spotykanym zwrocie „my" i „oni". Otóż są jacyś „oni", którzy organizują nasze życie, którzy administrują, którzy źle produkują i źle pracują — i „my", którzy jesteśmy inni (i oczywiście niewinni), stale przez kogoś nie najlepiej rządzeni i kierowani. „My", którzy umywamy ręce od tego, co się dzieje i uwalniamy się od odpowiedzialności za wszystko".

Jeśli więc zdarzy się, że przy świątecznym stole zaczniemy narzekać, to — proponuję — narzekajmy na siebie. Poczujmy się, że jesteśmy też odpowiedzialni za to wszystko, co dzieje się w naszym kraju. Profesor Bogusław Leśnodorski uważa taki podział na **„my"** i **„oni"** za niebezpieczny dla społecznej i politycznej świadomości. Ustrój nasz zakłada przecież — przypomina — niezbędną indentyfikację i tych, którzy „rządzą" i tych, którzy „są rządzeni". Nie jest to łatwy proces, ale jest niezbędny. Jeśli więc tu i ówdzie zdarza się w sposobach myślenia podział na „my" — w domyśle „rządzeni" i „oni" — w domyśle „rządzący", to z jednej strony świadczy to o brakach w naszej kulturze politycznej, a z drugiej dowodzi, że w procesie identyfikacji zachodzą zakłócenia. Bywa i tak. Trzeba bowiem pamiętać, że wyszliśmy z tradycji dalekich od demokracji, a nową tradycję dopiero wspólnie kształtujemy.

Jest więc o czym porozmawiać przy świątecznym stole, nad czym zastanowić się w czasie świątecznego spaceru. Żyjemy przecież w okresie, kiedy wspólnym naszym wysiłkiem zmienić ma się Łódź z miasta dziewiętnastowiecznego w miasto nowoczesne, godne już nie tylko XX wieku, ale czasów najbliższych, przyszłości, którą zwykliśmy sygnować dwoma tysiącami. Rok 2000 stał się symbolem czekającej nas nowoczesności. I aby nadzieje odpowiadały prawdzie, potrzeby zmiany sposobów myślenia u nas wszystkich.

Zatem spokojnych świąt i pożytecznych przemyśleń!

MARCIN RODAK

PAN SAMOCHODZIK

Pan Samochodzik stał się dla młodych czytelników postacią znaną i ulubioną, zwłaszcza, że w telewizyjnym serialu wcielił się w tę postać Stanisław Mikulski. Zbigniew Nienacki, który, jak wiadomo, potrafi trzymać rękę na pulsie wydarzeń, i tym razem poszedł za ciosem, prezentując nową serię przygód pana Samochodzika w towarzystwie... Fantomasa. Ledwie filmy o Fantomasie zeszły z ekranów, już mamy książkę o tym, jak przebiegły monsieur F. kradnie cenne obrazy, grozi bohaterom książki i w ogóle przysparza kłopotów.

Oczywiście nie w Polsce — tym razem pan Samochodzik obraca się w towarzystwie baronów, detektywów, policjantów, błąka się po lasach Chambord, pali gauloisy, poznaje francuskie dziewczę o imieniu Yvonne — i w ogóle bryluje po Francji. Znakomicie i wartko — jak zwykle u Nienackiego — napisana jest ta książka, wydarzenie goni wydarzenie, zagadka — zagadkę, tajemnica — tajemnicę.

Ale Nienacki nie poprzestaje na sensacyjnej fabule. Od czasów debiutanckiego „Uroczyska" przyświecają mu zawsze cele kształcące i umie je realizować niejako „bezboleśnie". Na kanwie tej francuskiej przygody, równolegle do sensacyjnej i intrygującej fabuły, prowadzi lekko i zajmująco... wykład na temat francuskiego malarstwa. Fantomas kradnie obrazy — jest więc pretekst do zaserwowania młodemu czytelnikowi sumy wiedzy o malarstwie. Podejrzewam zresztą, że było odwrotnie. Nienacki chciał poszerzyć wiedzę swoich czytelników o sprawy sztuki i dlatego kazał Fantomasowi kraść obrazy, a nie na przykład obrabować bank.

Zbigniew Nienacki „Pan Samochodzik i Fantomas", Wyd. Łódzkie, cena 34 zł.

PRASA ŚWIATOWA

Henryk Kurta i Lucjan Meissner opracowali znakomitą i wprost unikalną encyklopedię prasy światowej. Książkę wydał zasłużony dla badań prasoznawczych ośrodek RSW „Prasa" w Krakowie. Publikacja ta zawiera sylwetki 147 wybranych dzienników i czasopism z 39 krajów oraz charakterystyki 14 agencji prasowych.

We wstępie autorzy piszą. „Sądzimy, że polski czytelnik prasy codziennej czy tygodniowej, telewidz czy radiosłuchacz, będzie mógł, dzięki tej książce dowiedzieć się, co reprezentuje, z kim jest związana, jaki profil i jakie znaczenie ma cytowana w naszej prasie zagraniczna gazeta".

Bardzo to piękne założenie, ale należy raczej do pobożnych życzeń. Nie z winy autorów zresztą. „Prasa za granicą" wydana jest w nakładzie... 2 tys. egzemplarzy i w związku z tym mało prawdopodobne, aby szary czytelnik prasy mógł się z tej książki cokolwiek dowiedzieć. Dodam jeszcze, że książki tej nie miała żadna z łódzkich księgarń (pytałem w kilkunastu) i dopiero na specjalne zamówienie sprowadził ją do Łodzi nieoceniony kierownik „Pegaza", Jan Gierańczyk.

Tak więc reklamowanie tej jedynej w swoim rodzaju publikacji nie ma większego sensu. A przecież ze względu na swoją wagę informacyjno-poznawczą „Prasa za granicą" winna trafić do bibliotek publicznych, do szkół... Uważam nawet, że potrzebne jest popularne (być może nieco skrócone) wydanie masowe, tej naprawdę rewelacyjnej książki. Tylko wówczas spełni ona swoje zadanie, o którym marzą autorzy we wstępie.

Henryk Kurta, Lucjan Meissner „Prasa za granicą", Wyd. OBP — Kraków, cena 80 zł.

DZIEJE POETY

Syrokomla i Pol robią dziś karierę na tej zasadzie, że po latach, nawet bardzo przeciętny poeta jest t e m a t e m. Niedawno czytałem opasły tom „Wszystko o Syrokomli" — F. Fornalczyka, teraz podobną książkę, o Wincentym Polu, napisała Janina Rosnowska. Na dodatek Bogdan Ostromęcki wydał tom błyskotliwych szkiców, m. in. o Syrokomli. Jeszcze wcześniej książkę o Syrokomli napisał Jan Huszcza. O Polu natomiast napisała przed paroma laty książkę prof. Zawistowicz-Adamska.

Książki Huszczy i Ostromęckiego nie miały ambicji powiedzieć w s z y s t k i e g o i może dlatego dają się czytać. Drugie wydanie „Dziejów poety" też się da czytać, choć bardziej służy jako dokładna encyklopedia. Encyklopedie są oczywiście potrzebne, dlatego jest sens wydawać książki tego typu nawet, jeśli są tematycznie dość wąskie, a czytelniczo mało atrakcyjne.

Książkę Janiny Rosnowskiej można polecić nauczycielom, aby mogli sobie pogłębić wiedzę o poecie, którego utworów... nie ma nawet w programie. Tylko czy po nią sięgną? Bardziej niepokoi mnie jednak to, że mnożą się różnego rodzaju „opowieści biograficzne", „krótkie życiorysy" (500 stron) — natomiast konia z rzędem temu, kto kupi w normalnej księgarni wiersze Pola, Lenartowicza, Syrokomli... Nie kupi, bo albo ich nie wydano wcale, albo w mikroskopijnych nakładach, sprzedanych w ciągu miesiąca.

J. WIL.

Janina Rosnowska „Dzieje poety", Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, cena 36 zł.

MASZERUJĄ STRZELCY

Poparta obszerną dokumentacją, zdjęciami, relacjami uczestników książka Piotra Kukuły „Maszerują strzelcy", jest historią działań bojowych 28 i 31 pułków Strzelców Kaniowskich z 10 dywizji piechoty armii „Łódź" w kampanii wrześniowej 1939 roku.

Tak więc mamy jeszcze jeden powrót do tragedii narodowej, przyczynek do dziejów ziemi łódzkiej, do spraw nam najbliższych. Można byłoby zaryzykować twierdzenie, że w tej interesującej książce nie ma wcale fantazji literackiej, nie ma niczego, co zostało wymyślone lub z braku dowodów dokomponowane. Nawet dialogi były odtwarzane z drobiazgową dokładnością. Piotr Kukuła jeździł po kraju, zbierał materiały, przeprowadził dziesiątki rozmów z uczestnikami wrześniowych zmagań, szperał w archiwach, przemierzył raz jeszcze szlak bojowy 28 pułku. Powstała więc niezwykle ciekawa i cenna relacja, w której nic, co ważne, nie zostało pominięte. Nazwy miejscowości, czas poszczególnych akcji bojowych, sceny batalistyczne, nazwiska uczestników i ich funkcje są w tej książce autentyczne, sprawdzone przez autora, potwierdzone przez licznych jego rozmówców oraz przez dokumenty.

Książka „Maszerują strzelcy" mimo, że opowiada o tragedii, nie jest pozbawiona optymizmu, kończy się wieloznacznie: „Iść do wolności. Przez walkę".

Niewątpliwie dla tych wszystkich, którzy interesują się sprawami minionej wojny, stanie się ta książka uzupełnieniem ich wiedzy, dla pozostałych czytelników, będzie po prostu dobrą, niebanalną lekturą.

E. I.

Piotr Aleksander Kukuła „Maszerują strzelcy", Wyd. Łódzkie, 1972 r. Stron 326. Cena 23 zł.

Rys. Ibis-Gratkowski

„Brzydki ogród"

STEFANIA GRODZIEŃSKA

SŁOWO WSTĘPNE
do antysłowa wstępnego

Przystępując do pracy nad tą książką postanowiłam napisać słowo wstępne dla usprawiedliwienia Wydawnictwa Łódzkiego, że wydaje twór autorki zameldowanej na pobyt stały w Warszawie. Uprzedzam, że moje słowo wstępne będzie dosyć chaotyczne, ale nie chciałabym uchodzić za staroświecką. Słowo wstępne, uporządkowane i poprowadzone logicznie byłoby mało nowoczesne. Postanowiłam więc napisać antysłowo wstępne. Wszystkie anty są bardzo fajne, bo można pisać co ślina na język przyniesie. Przy okazji będzie to coś ambitnego. Wiadomo, że zamierzenie ambitne ma prawo a nawet obowiązek nie być udane. Jak rzadko czyta się w recenzjach: „Udane, ambitne dzieło". A jak często: „Jeśli nawet nie całkiem udane, jakże ambitne dzieło".

Chęć dania uśmiechu nie jest ambitna, tylko zarobkowa. Postanowiłam więc zerwać z dotychczas uprawianym procederem usiłowania wywołania uśmiechu. Niech się klient nie uśmiecha. Niech się wypcha, ale ja będę ambitna. I w ten sposób powstało antysłowo wstępne, będące mieszaniną dwóch opowiadań autobiograficznych.

1. Miejsce urodzenia
2. Szynszylowy kołnierzyk,

z których pierwsze jestem winna Wydawnictwu Łódzkiemu, a drugie chcę przemycić przy okazji. Na końcu antysłowa będzie wytłumaczenie, dlaczego tak mi na tym zależy.

Kto chce może całe antysłowo przepuścić i dalej już śmiało czytać, nie będzie więcej nic ambitnego.

ANTYSŁOWO WSTĘPNE

Rodzimy córki przejazdem. Chrząknięcie i kwiknięcie. Warto mi nosić się z Łodzią.

Od paru pokoleń wszystkie kobiety w mojej rodzinie przejeżdżając przypadkiem przez Łódź, rodzą tu córki. Tak przydarzyło się mojej babce, która urodziła tu moją matkę, poczem pośpiesznie pojechała dalej. Matka moja przejazdem z Genewy do Moskwy zatrzymała się w Łodzi na krótki czas, który był jej niezbędny, aby mnie wydać na świat. Ja z kolei, po przeżyciu całej okupacji w Warszawie, a wyzwolenia w Lublinie, spędziłam w Łodzi (piękne!) dwa lata powojenne, aby urodzić tu córkę. Nie muszę dodawać, że z mieszanymi uczuciami przyjmuję zawsze wiadomość, iż córka moja ma coś do załatwienia w Łodzi.

Na tym mogłabym skończyć, ale ze mną to nie takie proste. Całe moje życie może być traktowane jako potwierdzenie tezy, że jeżeli coś się dobrze zacznie, to trzeba na tym skończyć. Bo dalej na pewno będzie gorzej. A ja zawsze bardzo dobrze zaczynałam i bardzo źle kończyłam. Najrozmaitsze rzeczy z różnych dziedzin.

Urodziłam się dosyć dawno („to widać" — powiedziała moja znajoma w tym miejscu, chociaż prosiłam, żeby nie komentować w czasie kiedy będę czytała ten wstęp na głos. Tu wyjaśnię, że przed wydrukowaniem zawsze czytam każdą rzecz na głos, bo:

1) muszę sama usłyszeć, jak to brzmi,
2) jest to rodzaj weryfikacji, bo widzę, jakie wywołuję miny. Najlepiej przeczytać na spotkaniu autorskim, można też rodzinie. Moja rodzina jest bardzo rutynowana w wysłuchiwaniu mych utworów i fragmenty do śmiechu kwituje jak gdyby chrząknięciem, a fragmenty do płaczu jak gdyby kwiknięciem. Ale nigdy nie przerywa moja rodzina komentarzem jak ta znajoma, która powiedziała „to widać" kiedy przeczytałam, że urodziłam się dosyć dawno.

Ale wróćmy do Łodzi. Do końca mojego życia, bez względu na losy osobiste czy losy świata, we wszystkich moich dokumentach, papierach, zeznaniach, opiniach, ankietach, staraniach o wizę tranzytową czy o pralkę na raty, będzie widniało: „Miejsce urodzenia — Łódź". Złożyło się na to wiele okoliczności.

Pewien obywatel szwajcarski, wykładowca na uniwersytecie w Genewie, ożenił się pewnego dnia z pewną studentką. Gdyby studentka owa nie była niepoważna i opuszczenie męża odłożyła chociażby do powicia dziecka, pisałabym „miejsce urodzenia — Genewa". Gdyby ta sama studentka zdecydowała się męża opuścić o kilka tygodni wcześniej, pisałabym „miejsce urodzenia — Moskwa". Jedno i drugie mogłoby odegrać rolę w moim życiu zależnie od okresu historycznego. W każdym razie jedno i drugie brzmi o wiele bardziej snobistycznie, niż „miejsce urodzenia — Łódź". Z drugiej strony nie wiadomo, czy Wydawnictwo Genewskie, albo Wydawnictwo Moskiewskie zaproponowałoby mi wydanie książki. A Łódzkie zaproponowało. I już chociażby dla tego jednego warto mi przez całe życie nosić się z tą Łodzią.

Dcn.

Pierwszy fragment obszernego tekstu przygotowywanego dla Wydawnictwa Łódzkiego. Dalsze w następnych numerach.

„PATRZĄC NA WARSZAWSKĄ NIKE"

KSIĄŻKA

„Ostatnie słowa, jakie słyszałem z ust Kazika Iglikowskiego, to te na Szczygłej w pierwszych dniach września, gdy oddział Leśnika odchodził na Czerniaków — były jego życzeniem:

— Niech pan opowie!

— Opowiem — odkrzyknąłem wówczas...".

Ten fragment posłowia wyjaśnia wiele i mógłby stanowić motto tej książki. Ważna jest także dedykacja — dla wnuków. To stanowi jakby klamrę. Lecz nie możemy tej książki traktować dosłownie, jako pamiętnika. Choć autor wyznaje, iż opierał się na faktach, których sam doświadczył, bądź o których słyszał od znajomych, używał autentycznych nazwisk i pseudonimów. Jak sam wyznaje, chciał przysłużyć się historii, lecz miał na myśli tylko tę historię żywą, którą ludzie przekazują sobie z pokolenia na pokolenie, ożywiającą patriotyzm i pobudzającą do czynów. Książka była pisana z myślą o młodzieży.

Autor prowadzi nas na barykady oblężonego miasta. Wraz z bohaterami przebywamy w domach inteligencji warszawskiej i biedoty, gdzie odbywały się konspiracyjne zebrania i tajne nauczanie, w warsztatach produkujących broń i amunicję. Wraz z bohaterami powieści przeżywamy raz jeszcze podróże pociągami w okolice Warszawy, jeździmy okupacyjnym warszawskim tramwajem, bywamy w domach szpicli i szmalcowników, kolaborantów i funkcjonariuszy okupacyjnych władz. Słowem galeria typów i przegląd środowisk przebogaty. Chyba w żadnej z książek o Warszawie nie przedstawiono obrazu jej okupacyjnego życia w taki sposób. Przy tym należy dodać, że akcja powieści jest niezwykle żywa, dynamiczna, przynosi czytelnikowi emocje konspiracyjnych akcji i poczynań podziemia. Autor, pokazując najczarniejsze strony życia w okupacyjnej, walczącej Warszawie, nie zapomniał i o uśmiechu Warszawy. O tych satyrycznych piosenkach, śpiewanych w tramwajach i na ulicach, o dowcipie — broni tym skuteczniejszej, że godząc w hitlerowców, była jednocześnie czynnikiem samoobrony psychicznej Polaków.

Dominantą są jednak w tej książce obrazy walki czynnej z hitlerowskim okupantem, autor ukazuje niezwykłą ofiarność ludzi w tej walce, eksponuje przede wszystkim młodzież. Pokazuje również i starych ludzi, jak choćby rodzinę Zakrzewskich, którzy oddali życie za ukrywanie rodziny żydowskiej w swoim domu.

Książka zawiera niewątpliwie wiele prawd o tamtym pokoleniu. Było to istotnie w swojej masie pokolenie młodzieży patriotycznej, gotowej złożyć w walce o wolność narodu życie, działającej w imię określonych ideałów. Pokolenie to zresztą równie chętnie, jak do walki — zabrało się do odbudowy kraju, w imię tych samych patriotycznych ideałów, co zresztą nie zawsze było docenione.

Lecz autor w przedstawianiu prawdy o tamtym pokoleniu nie uniknął mitologii. To zaś zaważyło na sposobie rysowania postaci bohaterów powieści. Wyłączyć by należało oczywiście Kitaja. Postać to pełna, żywa, tchnąca autentyzmem. Lecz ci jego późniejsi kompani, ci harcerze przebrani pod koniec powstania w panterki, przedzierający się przez gruzy, by podpalić przy pomocy butelek z benzyną czołgi, albo odpierać zmasowane ataki kompanii hitlerowskich grenadierów, ostrzelanych na frontach — wydają się być nieprawdziwi. Wydają się nam oni zbyt grzeczni, przerysowani jak wielu bohaterów książek Sienkiewicza. Autor bardziej tworzył je chyba z zamysłem pisania „dla pokrzepienia serc".

Ten jednostronny, schematyczny rysunek wielu postaci, choćby drugoplanowych — razi i drażni, zwłaszcza w kontekście wydarzeń historycznych, oddanych z historyczną dokładnością. Być może nasze żądania są zbyt wygórowane. Lecz przedstawiając zalety książki trudno było uniknąć omówienia także jej niedostatków. Może autor zdawał sobie sprawę z ograniczeń, jakie mu narzuciło tworzywo autentyczne i świadomie rezygnował z głębszej charakterystyki, postaci czy analizy psychologicznej bohaterów na rzecz oddania większej liczby faktów historycznych?

Jedno jest jednak pewne. Każdy przeczyta tę książkę z zainteresowaniem. Młodszy czytelnik będzie miał wierny obraz życia i walki narodu w okresie najcięższym chyba w naszej historii. Starsi odnajdą w tej książce siebie, odnajdą świat, który należy już nie tylko do wspomnień, lecz i do historii, najokrutniejszej nauczycielki życia w tym przejawie, w jakim opisano ją na kartach tej powieści.

JÓZEF H. WIŚNIEWSKI

Henryk Dinter „Patrząc na warszawską Nike", Łódź 1972, Wydawnictwo Łódzkie, cena 40 zł, str. 450.

(Dalszy ciąg ze str. 1)

mi zboczami pagórków, rozłożyła się Dąbrówka Wielka. Jakby góralska wieś. Chałupy w słomianych czapach rozrzucone wzdłuż kilku powichrowanych, pełnych błota uliczek.

Kto kupił ziemię „szlachecką", ten miał w całym kawałku, góra dwadzieścia morgów. Ale i te gospodarstwa po drugiej wojnie rozdrabniały się cholernie szybko. Prawnie lub bezprawnie. Ot, mierzyło się krokami ojcowskie pole, stawiało w połowie kołek i rżnęło pługiem na równe części.

To jedno. Większość gospodarstw posiadała ziemię „ukazową", nadaną przez cara. Te były rozrzucone po wszystkich pagórkach, często w jedenastu kawałkach.

Każdy chciał żyć lepiej. Szedł rok 1958. I wtedy **Jakub Baran** tak zaczął gadać wśród najbliższych krewnych i znajomych:

— Ludzie, trzeba coś robić, żeby wyleźć z tej biedy. Żyjemy ni tak ni owak, chłopo-robotnicy, psiakrew, dziwny stwór w tych nowych czasach...

Ten i ów podsłuchał, zaraz poszły szepty złośliwe, że Baran chce założyć nową mafię kołchozową. Prawdy w tym tyle, co zresztą zostało do dziś, że spółdzielnię zaczynali robić w powiązaniu rodzinnym: teściowie, szwagrowie, bracia itd.

A więc: **Jakub Baran, Roman Karolak** i jego brat stryjeczny **Ignacy, Klemens** i **Jan Kupisowie, Bogumił Gąsiorkiewicz, Antoni** i **Jan Bińczyccy**. Dziewięciu zwariowanych. Dziesiątym członkiem, bo tego wymagał statut, została, bez wkładu, żona J. Kupisa, Anna, która miała prowadzić księgowość. Nikt nie mógł pojąć, co się dzieje, bo z tych dziesięciu do rozwiązanej spółdzielni produkcyjnej należał tylko I. Karolak.

Ale nowej spółdzielni jeszcze nie było.

Zbierali się wieczorami, całymi rodzinami, w chałupie u Barana, albo jeździli do Piekar, gdzie pracował inżynier **Roman Karolak**, specjalista od przetwórstwa owocowo-warzywnego, swój chłopak, urodzony w Dąbrówce, i radzili, co i jak robić, na jakich zasadach, żeby w przyszłej spółdzielni ludziom żyło się lepiej.

— Ty, Baran, między ludźmi się kręcisz — powiedzieli **— to jedź na zwiad i wywąchaj, czy pozwolą założyć spółdzielnię na naszych warunkach.**

Baran udał się do kierownika wydziału rolnictwa PPRN w Łodzi, Warzechy, który przyjął go grzecznie, chociaż nieraz się ścinali, ale oczy mu się zrobiły jak denka od szklanki, gdy usłyszał, z czym Baran przyjechał.

— Wy, Baran, nie róbcie ze mnie wariata! Kto dziś zakłada spółdzielnię?

— My założymy! Ale według statutu.

— No, dobra, pracujcie nad tym statutem. Tylko co wy zamierzacie uprawiać, żeby wyjść na swoje?

— Warzywa. I na miejscu je przetwarzać. W tym głowa Romana Karolaka.

Zrobili ten własny, jak najbardziej korzystny statut; zjechały władze powiatowe i z Centralnego Związku Spółdzielczości Produkcyjnej. Napięcie. Ci z Dąbrówki patrzyli tamtym w twarze, na ołówki w palcach.

Statut przeszedł, nie skreślono żadnego punktu. Dostali odpowiednie zaświadczenie, sąd zarejestrował fakt i dziewięciu członków nowej spółdzielni zaczęło gospodarować na... 27 ha gruntów, bo tyle tylko wnieśli do wspólnego gospodarstwa.

TWARZĄ DO SŁOŃCA

2.

Była kupa śmiechu, ostre rajcowanie po opłotkach. Ten i ów trzymał się pod boki i wywodził jak prorok:

— Do końca roku nie wyciągną!

— Na głupotę nie ma ratunku.

— Pomidorów i ogórków im się zachciewa.

— Przecież wszystko chwast zeżre!

Byłoby jeszcze więcej uciechy, gdyby gospodarze wiedzieli, że przez pół roku spółdzielcy zgodzili się pracować bez zapłaty, bo pieniążki znajdą się w kasie dopiero po zbiorach, w końcu sierpnia. Nikt nie wiedział, że u takiego Gasiorkiewicza pilo się czarną kawę zbożową, a z chlebem też nie raz było krucho.

Wszystko zaczęło się w ogródku Jakuba Barana. Miał kilka inspektów, własnym sposobem zmajstrowano dodatkowe skrzynie, wyszklono okna. Mozolnie, pieczołowicie pochylali się spółdzielcy nad flancą ogórków w doniczkach, rozsadą kapusty i krzaczkami pomidorów, a kiedy ziemia zaczęła wiosennie parować, krzaczek po krzaczku, flanca po flancy, sadzono je w polu.

W niedzielę ludzie z Dąbrówki zachodzili ukradkiem na spółdzielcze pole, podglądali i dalej kpili, że będzie z tego niezła karma dla świń. Ale rośliny rozwijały się, rosły. W czerwcu poniektórzy z indywidualnych zatarli z uciechy ręce.

— No, teraz to tamci się skończą!

Niebywały kaprys pogody. Mróz. Klęska.

W nocy poszły krzyki:

— Ludzie, zobaczcie, co się dzieje! Spółdzielcy już po wykopkach, gory palą i pieką kartofle!

Tamci ratowali wspólny chleb. Jedni cięli na okolicznych wzgórzach jałowiec, drudzy wozili go furmanką, inni podsycali ogień. Całą noc i cały ranek tak kopcili, ciężka chmura dymu stała nad zagonami, otulała rośliny ciepłą zasłoną. Uratowali zbiory.

Już w tym pierwszym roku były bogate. W jednych oczach radość, w drugich podziw i zawiść. Bo pomidory jak pięści, tylko zgarniać, sam pierwszy wybór. To Bińczycki, to Kupis jeździli do Zgierza i sprzedawali od ręki. Nawet po złotówce taniej.

Roman Karolak dojeżdżał jeszcze z Piekar, ale dobrze rozkręcił robotę w Dąbrówce. Wszystko szło domowym sposobem.

Z miłością pieścili w palcach pierwsze drobne pieniądze, choć było to dla nich dużo — 1000 złotych zaliczki po pół roku pracy. Pierwszy rok dał 355 tysięcy złotych dochodu.

Władze, patrząc dotąd podejrzliwie na ich poczynania, przekonały się, że to nie mafia rodzinna, ale dobry kolektyw, który potrafi mądrze i wydajnie gospodarować. Znalazł się więc kredyt, chociaż wydębiony jeszcze na własne nazwiska, za który wykupiono tę dużą oborę po dawnej spółdzielni oraz stary ciągnik. W październiku spółdzielcy otrzymali zaliczkę po 2 tys. złotych, a na koniec roku wyrównanie po 6—7 tys.

Nabrali rozpędu. W oborze montują przetwórstwo na większą skalę, od sukcesorów odeszłych do miasta kupują leżące po obu stronach 7,70 ha gruntu. Zaczynają uprawiać zboża i rośliny okopowe. Pierwsze młocki na wspólnej stercie odbywają się komisyjnie.

Potrzebna jest ziemia. Za własne pieniądze nabywają 40 ha gruntu. W 1960 roku przejmują 80 ha ziemi z upadającej spółdzielni w Srebrnej; potem odłogi w Besiekierzu. Na początku było 27 ha. Dziś jest ich 400.

Ale nie tylko liczy się wzrost powierzchni. Najważniejsze są ludzkie odczucia. Wiara tych, którzy pracują w spółdzielni, rodząca się nadzieja i zaufanie przyglądających się dotąd z boku. Budzą je osiągane wyniki. Bo następny rok wspólnej pracy daje już ponad milion dochodu. Bomba dla władz politycznych, dla wszystkich ludzi z Dąbrówki. Już po zakończeniu pierwszego roku do spółdzielni przyszli: **Józef Obiedziński, Roman Wiewiórak**, brat inżyniera **Romana Karolaka — Jan** oraz jeden bezrolny, co było zjawiskiem dotąd niespotykanym.

W trzecim roku przyszło dalszych pięć rodzin. Potem nie było roku, aby do spółdzielni nie wstępowało po 3—4 rodziny. W ciągu piętnastu lat nazbierało się 65 rodzin. Trzeba teraz wyjaśnić, kto wstępuje i dlaczego. No i skąd 50 proc. mieszkańców Dąbrówki pracuje w spółdzielni.

3.

Po prawej stronie drogi wiodącej do Piątku, za przystankiem autobusowym, dymi komin przetwórni. Barakowe budynki, garaże, czerwone mury wysokiego magazynu — przechowalni owoców na 400 ton. To nowa inwestycja, będąca na ukończeniu.

W dole Dąbrówka. Idę asfaltowymi ulicami, oglądam domy, pomieszczenia przetwórcze, budynek Spółdzielni Zdrowia. Nie znam innych budynków, nie wiem czemu służą. Ale ta Spółdzielnia Zdrowia, w której mieści się też punkt apteczny, to oddzielna jednostka, założona przez członków Rolniczej Spółdzielni w Dąbrówce. Pracowita, doświadczona, świetny lekarz, **Anna Szukalska** miała tu 10 tysięcy pacjentów. Dotychczas nawet udział członkowski nie wykluczał opłat za leczenie. Dziś wszyscy ubezpieczeni. Spółdzielnia zaczyna pracować na zasadach Ośrodka Zdrowia.

W podwórkach samochody różnych marek. Można doliczyć do dwudziestu. Piętrowych willi naliczyłem sześć, parterowych ponad 40. Przed jedną z willi, taką o różowych ścianach, z wyszklonką werandą i tarasem, z pochyłym zjazdem do garażu sterczy bielona chałupka pod papą, łamiącym się płotem i zapadającą w ziemię obórką. Ten obrazek zakrawa na stereotyp, na polityczną agitkę, ale to fakt. Przydałby się fotoreporter.

Z tej chałupki wychodzi stary człowiek w kufajce, drelichowych portkach i ugnojonych gumiakach. Podchodze do niego i pytam:

— Kto tu taką willę wywalił?

— A, ten ze spółdzielni...

— A te inne nowe domy?

— Też spółdzielcy — mówi z niechęcią — **ale pewnie za kradzioną forsę.**

— To by ich zamknęli.

— No to może za swoje, bo ja wiem?...

— Jest pan członkiem spółdzielni?

— Nie...

— Dlaczego?

— G... to pana obchodzi, a zresztą to powiem: człowiek już nie jest na swoim.

— Ale krzywdy panu spółdzielnia nie zrobiła.

— Bogacą się, te kołchoźniki...

— Ale wy z tego korzystacie.

— Eee, tam...

— No, a te drogi asfaltowe, latarnie na ulicach, Spółdzielnia Zdrowia, przedszkole, świetlica?

— Ja tam do świetlicy nie chodzę.

To taki ostatni „Mohikanin". Zmieniają się poglądy. Były dwie córki na 12 ha. Wymogły na ojcach wkład, weszły do spółdzielni.

W pierwszym okresie wstęp do spółdzielni hamował zakaz o rozdrabnianiu gospodarstw. Teraz on już nie obowiązuje. Rodzice nie muszą, ale mogą dać ziemię dzieciom, wchodzącym do spółdzielni.

— W bieżącym roku na cele socjalne przeznaczamy 260 tys. złotych — mówi wiceprezes, Mieczysław Trzcinka: — **60 osób jedzie do ZSRR, 120 na wycieczki krajowe, każdy chętny do teatru w Łodzi i w Warszawie. Dwa razy partycypowaliśmy w rozbudowie szkoły, trzymamy pieczę nad świetlicą (opłata choreografa), gdzie ćwiczy znany zespół taneczny „Jaś i Małgosia". Pomagamy ludziom w złym i dobrym, pamiętamy o wszystkich.**

Skąd to się bierze? Wytłumaczenia należy szukać w tym, czym jest dzisiejsza Dąbrówka. A więc:

W ubiegłym roku na eksport dostarczono 1000 buhajków (w przyszłości 1500), 280 ton mięsa z drobiu (cały proces: jajko, własna wylęgarnia — piskle — tucz.). Stado podstawowe brojlerów i indyków wzrośnie do 0,5 mln sztuk.

I dalej: sad wiśniowy na 9 ha (w początkach, podczas mrozu, złośliwi szli, deptali, łamali), młody sad jabłoniowy na 14 ha i 5 ha, jagodowego.

Nadto — rozszerzenie hodowli krów dojnych.

4.

Jakub Baran od początku był prezesem spółdzielni. Dwa lata temu przeszedł na rentę. Ale wciąż go się radzą, zna historię Dąbrówki na wylot, walczył w BCh, teraz sprawuje społecznie funkcję prezesa PK ZSL w Łodzi.

— Czy wykształcenie członków spółdzielni pana zainteresowało?

— Nie, przeoczyłem to.

— To spojrzyj pan.

Spoglądam. Nie ma kłopotów z obsadą stanowisk. 4 osoby z wyższym wykształceniem, 6 ze średnim, prawie 30 z zasadniczym rolniczym.

Rozmawiałem z młodymi ludźmi. Patrzą na spółdzielnię z nadzieją, wierzą, że tu im się polepszy w życiu.

— O to idzie. Od nas młodzi nie uciekają. Raczej wracają.

Zgadza się. Z wysokich stanowisk, z fabryk i urzędów powrócili do Dąbrówki: **Rajski, Ansoljk, Kupis, Gortat i inni.** Pozostali już nie mierzą na miasto. Zły dojazd, gorsze zarobki.

— Ale starsi nadal stają okoniem.

— Tego to ja już nie rozumiem. Przecież tutaj mają zapewnioną starość. Mówię pewnie subiektywnie, ale tak jest w rzeczywistości...

To też nie propaganda. Powiedział mi jeden z gospodarzy, nie należący do spółdzielni:

— Panie, ja nie należę, ale widzę, czego tam się dochrapali. To każdy widzi, toteż młodych nawet batem nie wypędzisz do miasta!

Znaczy Baran nie buja. On też ma dom murowany w miejsce drewnianej chałupy. Jemu i każdemu renciście, spółdzielnia przywiezie na miejsce opał (przewóz — bezpłatny), dostanie co dnia swoje 3 litry mleka, zapomogę w nieszczęściu. Plajta nikomu nie grozi, bo spółdzielnia ma w rezerwie 7 mln złotych. Ale wszystkich najostrzej zbulwersuje fakt, że w Dąbrówce rencista może dostać 3 tysiące zł miesięcznie!

To kole, ale i zachęca, kieruje wzrok na spółdzielnię. W tym roku wstępuje 5 nowych rodzin, wnosząc 15 ha ziemi.

— Wie pan — mówią — **chociaż i z tej przyczyny, że można zarobić po te 120 zł dniówki, a w stołówce obiad kosztuje tylko 8 zł.**

Wyszło na to, że najważniejszy zarobek, tanie jedzenie, perspektywa nowego domu, dostatniego życia. Ale nie tylko.

— Pracuje się u siebie, wśród swoich, dobra atmosfera, serdeczność, każdy może powiedzieć, co ma na sercu. To nie to, co wśród obcych, gdzieś w hałasie, zgiełku. U nas to prawie rodzina...

— No, ale ci z miasta też nasi. Chcą jeść, my dla nich robimy...

Kto by się spodziewał, że takie tu myśli. Ale tak być musi. Wszyscy żyją pod tym samym słońcem. Kiedy patrzę ze wzgórza w kotlinę, w tym słońcu jaśnieją nowe domy w Dąbrówce... I nie tylko. To słońce jest w ludzkich oczach i twarzach...

RYSZARD BINKOWSKI

Chłopi w Lipcach

(Dalszy ciąg ze str. 1)

szkolnej tablicy, po iluś tam godzinach tłuczenia się w zapchanych pociągach na trasie między miejscem pracy — Łodzią, Koluszkami, Skierniewicami, Warszawą nawet — a Lipcami — znajdują jeszcze w sobie moc i wolę, by własnym potem zraszać ziemię.

W Lipcach chłopów wprawdzie nie ma, są za to chłopo-robotnicy; oni to stanowią większość lipieckiej społeczności. „Chłopo-robotnik" — dziwoląg językowy i socjologiczny? Kiedyś chłop był chłop, robotnik był robotnik, a pan był pan. A tu przemieszało się, pokrzyżowało.

Jak już się zjawił jeden, z całym sztabem na dodatek, ze sprzętem, aparaturą i oprzyrządowaniem, to też mu nie szło o dziś, a o wczoraj — o tamtych Antków, Jagusie i Borynów. Jeszcze Lipce są pod tym wrażeniem, a najbardziej to już chyba **Helena Pintarowa.** O, bo jeśli szukać w Lipcach dzisiejszych podobieństwa z Lipcami niegdysiejszymi, podobieństwa atmosfery, typów ludzkich — to tylko do Heleny Pintarowej! Jakby ją żywcem wyjęto z reymontowskiej epopei. Zresztą — rekomendować nie trzeba; była Helena Pintarowa u pani Dziedzic w Tele-Echu i to dwukrotnie. Tak to rezonowała swoim donośnym potężnym głosem, ze swadą, zadzierżyście — że samą Dziedzic byłaby przegłosowała.

Kiedy przekroczyłam próg jej domostwa — mimo, że na drzwiach widniała kartka: **„Jestem w ogrodzie"** — i huknęłam: **„jest tu kto?"**, wypadła zza drugich drzwi Pintarowa — **„gwiazda filmowa"** (Młynarzowa w „Chłopach" Rybkowskiego), **„osoba bywała"** — z miską kartofli dla świniaków. Zapracowana i zalatana ponad pojęcie przeciętnego mieszczucha. Że jednak gość w dom — Bóg w dom, przysiadłyśmy sobie w kuchni na pogawędkę. Przeprasza za bałagan, **„ale taki wieczny huk roboty"** — basuje i w jej ustach ten wieczny huk roboty przedstawia się nie jako dopust boży, ale żywioł codzienności.

„A ja tak przy niedzieli odpoczywam sobie" — wskazuje na sterię kwitków i rachunków leżącą na stole... Pintarowa od lat prowadzi zlewnię mleka. Przyznaje, że tęskni już za rentą, za dużo obowiązków na jej siły, ale — choć wiek dopomina się o prawo do odpoczynku — z emeryturą trzeba jeszcze poczekać. Dopiero od niedawna przeniesiono ją na etat, a tak cały czas pracowała na umowie; teraz musi jeszcze swoje na etacie odpracować.

A i przy dobytku niezgorzej się trzeba nachodzić, jest tego: krowa, byk, 9 świń, 100 kur. Michał Pintara, junior, nie pali się do roboty w gospodarce. Kiedyś próbował studiować ekonomię, ale po semestrze zrezygnował z kształcenia, później egzaltował się swoimi filmowymi „sukcesami" w „Chłopach", teraz rozbija się swoim moskwiczem na taksówce — w każdym razie przy obejściu wielkiego pożytku z niego nie ma. Mąż zaś odumarł Pintarowa pięć lat temu — od tych pór wszystko bez reszty spadło na jej barki. Radzi sobie, bo tu jest w ogóle nie do pomyślenia, żeby opuścić bezradnie ręce, ale już się jej daje we znaki ten kołowrót. Już i chorowała poważnie, w szpitalu była — kto by dał wiarę, patrząc na nią?

Ale, moi państwo. Tak już było, że jak w łódzkiej WFF na Łąkowej nagrywano sekwencję wesela Boryny, przybyła na zdjęcia z drugimi Pintarowa i — jak gdyby nic, do weselnego obertasa się porywa, takiego od ściany do ściany. Nim się jednak porwała, partnerowi swojemu przykazała: „ady trzymaj mnie mocno, cobym ci się nie obaliła". Dobre sobie. Czterdzieści lat baba wywijała hołubce i przytupy, niejako etatowo, w regionalnych przedstawieniach „Wesela Boryny", a tu raptem boi się czegoś. Co się jednak okazało, już po zakończeniu zdjęć? A że Pintarowa w tan ruszyła z blisko czterdziestoma stopniami gorączki.

Unieśmiertelnił Reymont Lipce, a Lipce wywdzięczają się sukcesywnie Reymontowi — i dzięki temu być może, głównie, **„dzieje się ciągłość".** W Lipcach jest żywy pomnik pisarza i jego dzieła — regionalne, autentyczne — chciałoby się powiedzieć — **„Wesele Boryny".** Teatr. Od czterdziestu lat nieprzerwanie. Zmieniają się aktorzy, ludzie często obdarzeni oryginalnymi talentami, aktualnie np. już trzynasta Jagusia wydaje się za Borynę — wszystko w ogóle zmienia się naokoło, jakby świat zwariował — weselnicy lipieccy hasają niezmordowanie od czterdziestu lat, jakby nie zmieniło się zgoła nic. Zespół próbował już w swojej karierze wystawiać inne utwory, ale „nie wypalało". I tak pozostało tylko i wyłącznie „Wesele Boryny". Bo **„to o nas, my to czujemy".** I **„to już będzie zawsze"** — stwierdza z przekonaniem Helena Pintarowa, chociaż przed chwilą jeszcze kłopotała się o młody narybek do zespołu.

„Wesele Boryny" — to sztandarowe i wzruszające w swojej żywiołowości przedsięwzięcie kulturalne Lipiec — urodziło się równe 40 lat temu (w lipcu ub. roku zespół obchodził ten okrągły jubileusz) i do dziś opiera się właściwie na weteranach sceny lipieckiej. A jak nie podoła już stara generacja entuzjastów? — inspiratorka teatralnej akcji, do dziś jej patronująca, obecnie emerytowana nauczycielka **p. Nowicka;** artyści rówieśni stażem samemu „Weselu"; **Władysława Szchechowicz, Janina Klepaczka, Zofia Żagowa, Józef Ogrodniczek** i **Helena Pintarowa,** naturalnie.

Zespołowi potrzebna jest fachowa instruktorska opieka, tę sprawuje pani **reżyser Nawrocka** z Łodzi. Może ten zewnętrzny, zawodowy czynnik okaże się spoiwem cementującym indywidualne zrywy lipieckich naturszczyków, w trwałą instytucję jedynej w swoim rodzaju sceny amatorskiej? Może dzięki temu „Wesele Boryny" będzie zawsze, jak tego chce Helena Pintarowa?

Z zespołu firmowanego autorytetem starej gwardii pójdźmy dalej — do **„przyszłości narodu"** i jej teraźniejszych problemów. Problemów, których jakby ta przyszłość unika, czy dość niepewnie je podejmuje. Ja wiem, że **„młodzież musi się wyszumieć"** i tańczyć, bo **„ciężko pracuje i uczy się".** Wszystko to prawda, ale nie uwierzę, żeby Jagusie i Antki XX wieku zadowalali się podskakiwaniem przy bigbeacie na akordeon, skrzypki i schrypnięty falset powiatowego zapiewajły, czy też do wtóru nagrań magnetofonowych i płyt na wieczorkach tanecznych. **Lipce nie są już dziś dechami zabite,** przeciwnie: z powodu tej swojej chłopo-robotniczej struktury społecznej są bardziej otwarte na szeroki współczesny świat niż niejedna inna wieś. Niewątpliwie ci wszyscy chłopo-robotnicy korzystają z wielko- (czy średnio-) miejskich uciech w miejscu pracy lub nauki. Przecież jednak Lipce nie są tylko domem noclegowym, tu się po prostu i zwyczajnie mieszka i żyje.

Z ociąganiem relacjonuje mi **Zosia Pintarówna** osiągnięcia miejscowych działaczy. Miła, spokojna, skromna dziewczyna, pełni funkcję sekretarza organizacji ZMW. Zapytana o konkretne swoje obowiązki z trudem i pa wahaniu wymienia jeden: cotygodniowa zmiana planu zajęć. Jak różni się jeden taki plan od drugiego? Szczegółikami, kwadransami — wnoszę z wypowiedzi Zosi. Zasadniczy kościec pozostaje ten sam: od

(Dokończenie na str. 10)

HIGH SOCIETY

(Dalszy ciąg ze str. 1)

formator. — **Takie rzeczy nie ujdą nawet uwadze dziecka.**

— **Więc o co tu chodzi?**

— **O interes. Naczelną troską dyrekcji jest dobro hotelowych gości.**

— **Szczególnie tych zagranicznych...**

— **Zrozumiałe. Oni cenią sobie nasze prostytutki. Wielu z nich twierdzi, że gdyby nie prostytutki, nasze hotele — obsługa, kuchnia, warunki lokalowe — byłyby nie do przyjęcia...**

Aparat ścigania miał na tę sprawę inny pogląd.

Wszyscy portierzy — także ten, u którego w hotelowej pakamerze odkryto potężny skład zagranicznych, przeznaczonych na handel przedmiotów — wywalono z pracy. Wielu z nich stanie przed sądem. Prostytutkom zabroniono wstępu do nocnych lokali, uczulając nowy personel na ich zwody i metody.

A więc w barach, kawiarniach i restauracjach koncernu „Bristol" — „Europejski" zapanowała niespotykana dotąd czystka. Panienki z KOC przestały bryllować po dziesiątej wieczorem na hotelowych korytarzach. Recepcjoniści i windziarze wzmogli, jak to się mówi, czujność. Te godne pochwały, nowe rygory postępowania objęły także inne warszawskie lokale. Zaczęto walczyć z prostytutkami zgrupowanymi wokół koncernu „Polonia" — „Metropol". Będąc tam o godzinie jedenastej wieczorem, dowiedziałem się od znajomego muzyka, że o tej porze wolno wejść na dancing tylko jednej z dziewczynek. Zapytałem:

— **Dlaczego akurat jej?**

— **Może ma jakieś szczególne zasługi?** — odpowiedział muzyk i wskazał ją dyskretnym ruchem dłoni.

Zdecydowanie zmieniła się także sytuacja w stołecznym „Grand Hotelu". Główna siedziba prostytutek — położony na dziewiątym piętrze bar „Olimp", został z powodu chronicznego deficytu wypuszczony w dzierżawę Polskiemu Komitetowi Olimpijskiemu, który zorganizował tu swój klub.

Kto ma do tego klubu wstęp? Zawodnicy? Działacze sportowi?

Siedząc tam, pijąc kawę i słuchając naprawdę dobrej muzyki, zacząłem się zastanawiać nad sytuacją, w jakiej znalazły się rejestrowane w milicyjnych aktach dziewczynki. Skoro nie mogą urzędować w luksusowych restauracjach, będą musiały wyjść na ulicę albo stoczyć się do gorszych, nie nękanych jeszcze przez obyczajówkę lokali. Z pewnością boleśnie odczują ten cios. Przecież stanowiły do niedawna super elitę towarzyską. Czy znacie w ogóle prawdę o warszawskich księżniczkach nocy?

Według oficjalnych statystyk — Polska jest krajem o największym w świecie procencie prostytutek, posiadających wyższe wykształcenie. Lekarki, farmaceutki, absolwentki wydziałów humanistycznych i politechnicznych, nauczycielki i artystki — oto damy, które najpierw zafundowały sobie na koszt państwa tytuły naukowe, a później, stosując perfidny unik od uczciwej pracy, rozpoczęły karierę hotelowych kurwiszonów.

Czy aby nie spłycam zagadnienia? Prostytutki obracające się w lokalach orbisowskich — te z wyższym, średnim i podstawowym wykształceniem — chodzą znakomicie: gustownie i drogo ubrane. Na co dzień mają do czynienia z fryzjerami i kosmetyczkami. Pilnie uczą się języków, uczęszczając na wykłady do kolegium jezuickiego, najmują sobie prywatnych korepetytorów, lub nawet — komedia — chodzą na lektoraty do pewnej podstarzałej, emerytowanej kokoty, która zamieniła swoje mieszkanie w coś bardzo przypominającego szkolną pracownię — na ścianie czarna tablica, na tablicy nagryzmolone białą kredą angielskie zdania o słowach, których nie sposób znaleźć w żadnym literackim słowniku, a które tak bardzo są przydatne w momencie podrywania klientów i wchodzenia z nimi do sypialni.

Jeszcze parę miesięcy temu uczciwa, trafiająca nocą na „Olimp" lub do „Kamieniołomów" kobieta, musiała na widok tych rozpanoszonych przy barach i stolikach kurewek nabawić się ciężkich kompleksów. Każdym gestem i słowem potrafiły udowodnić swą wyższość. Były za pan brat z personelem, znały po imieniu wielu rodzimych i zagranicznych gwiazdorów filmu i estrady. Ich orientacja w zakresie aktualnego kursu wszystkich zagranicznych walut mogłaby wprawić w osłupienie niejednego dyrektora banku. Marki Win, koniaków, papierosów — na pamięć! Umiały zrobić odpowiedni zestaw wykwintnych potraw, bez pudła odróżniały smak niezanych przeciętnemu Polakowi ryb. Gdy zaszła potrzeba — z równą swobodą mówiły o teorii względności jak i najnowszych tendencjach we francuskiej literaturze. Pewien znajomy dziennikarz opowiedział mi, że kiedyś jedna z tych zdeprawowanych intelektualistek przez dwie bite godziny dyskutowała z nim piękną i wyszukaną polszczyzną na temat współczesnych prądów w malarstwie, ale co parę minut mówiła: przepraszam, pan wybaczy ten żargon — i przywoływała do porządku swoje koleżanki za pomocą najgorszych, kloacznych wyrażeń. Znajomy reżyser, badający to środowisko pod kątem swoich potrzeb artystycznych, zwierzył mi się, że poznał prostytutkę o twarzy anioła i inteligencji profesora uniwersytetu. Łagodna, dostojna, smutna, o wyraźnych ciągotach romantycznych — potrafiła nagle zerwać się od stolika i wyrżnąć klasycznym hakiem w zęby inną anielicę, której pożyczyła kiedyś na wieczne nieoddanie pięć tysięcy złotych.

Najlepsze z nich mają swoje żelazne zasady. Nie pić. Nie palić za dużo. Nie zadawać się z rodakami, chyba że panuje akurat martwy sezon. Zachowywać się cicho w miejscach publicznych. Unikać scysji z milicją i władzami hotelowymi. Odkładać pieniądze. Wysypiać się i nie zaniedbywać. Szanować dobrych klientów, stwarzając im warunki domowego ciepła i serdecznej przyjaźni.

— **Są takie, które poświęcają mężczyźnie cały swój wolny czas** — twierdzi wnikliwy znawca warszawskich obyczajów. — **Przygotowują mu śniadanie, piorą koszule, a potem, kiedy już wyjedzie, biorą się za następnego. Nigdy nie zdarza się im robić dwóch kursów dziennie, choćby ten drugi miał im przynieść duży zysk. Nigdy też nie schodzą poniżej trzydziestu dolarów za seans, a są takie, co biorą i więcej... Rekordzistką była chyba Lolita, której przez jakiś czas płacono po sto i sto dwadzieścia, czym przebiła samą Królową Portu ze Szczecina oraz Paszczę i Paskudę z Warszawy. Paskuda, podobnie zresztą jak większość tych najlepszych, wydała się parę lat temu za mąż, łowiąc dyrektora Królewskich Linii Lotniczych w...** (pada nazwa kraju), **Paszcza zestarzała się i wyjechała do Kanady, a Lolita wyszła podobno za jakiegoś kowboja z Kalifornii.**

PRÓBA DIALOGU:

— **Gdzie mieszkają te najwytworniejsze kurtyzany?**

— **Niektóre pokupowały sobie mieszkania w pekaowskich domach. Oczywiście za dewizy.**

— **Dużo jest takich domów?**

— **Sporo. Dla przykładu — w tym niewykończonym jeszcze wieżowcu na Smolnej, a więc w samym centrum Warszawy, prostytutki stanowią większość udziałowiczów.**

— **A gdzie mieszka reszta?**

— **Różnie. Niektóre powynajmowały sobie pokoje w śródmieściu, inne zamieszkują na Osiedlu Staszica, zaraz obok Filtrowej. Wynajmują wille, stać je na apartamenty w luksusowych domach.**

— **Ci, którzy wypuszczają im pokoje, wiedzą chyba, kogo sobie ściągają na kark?**

— **Jasne, że wiedzą. Ale pieniądz nie śmierdzi. Obowiązujące „komorne" wynosi cztery tysiące złotych miesięcznie. Na taki grosz potrafi się nieraz połakomić najporządniejsza mieszczańska rodzina.**

— **Duże ryzyko...**

— **Skąd. To są najlepsze sublokatorki. Nie piją, nie tańczą, wszystko się odbywa w grobowej ciszy...**

— **Prawda to, że wiele z nich ma swoje samochody?**

— **I to jakie!... Żadna poniżej fiata nie schodzi. Iza dostała podobno od pewnego amerykańskiego przemysłowca najnowszy model BMW...**

Ich wyścielane puszystymi dywanami mieszkania pęcznieją od drogocennych przedmiotów. Jedna trzyma w kufrze parę kilogramów szwajcarskich zegarków, inna nabija złotem zdobnie rzeźbioną sekreterę. A wszystko to z myślą o spokojnej i pogodnej starości, która przecież — szybkimi krokami — nadchodzi.

Z każdym rokiem więcej zmarszczek i mniej siły. Sztuka polega na tym, żeby nie zejść na psy i w porę się wycofać: przenieść do innego miasta czy kraju, wyjść za mąż lub otworzyć interes.

Ale udaje się to tylko nielicznym. Zdecydowana większość spada z roku na rok do coraz to gorszych lokali, a w końcu na ulicę. Wraz z urodą odchodzi elegancja, wytworne maniery i powierzchowna inteligencja. Pozostają jeszcze wspomnienia, jednakże trudno z nich wyżyć, i wierzyć nikt w nie wreszcie nie chce... Pozostaje tylko czarna rozpacz.

Siedzę w barze „Olimp" na dziesiątym piętrze warszawskiego „Grandu". Gra muzyczka, na parkiecie wirują nastolatki. Lokal należy teraz do sportowców, został podobno doszczętnie wyczyszczony z elementu.

Ale... co robią te siedzące samotnie przy stolikach, strojne i obficie wymalowane kobiety?

Czyżby wracały powoli do swoich ukochanych, ciepłych gniazd? Czyżby godna pochwały, zakrojona na szeroką skalę akcja warszawskiej milicji miała spalić na panewce po kilku tygodniach względnego porządku i spokoju?

Jeszcze są zalęknione, nieśmiałe. Obrzucają czujnym spojrzeniem każdą nową, pojawiającą się w progu twarz. Z chwilą, kiedy proszę kelnerkę o książkę życzeń i zażaleń, milkną polsko-niemieckie i polsko-angielskie rozmowy przy sąsiednim stoliku. Jakaś piękność przezornie usuwa się w mrok sali. Podkasana dziewczynka opuszcza w popłochu rozpalonego Francuza i podąża szybkim krokiem do drzwi.

A przecież niektóre poczynają sobie śmiało i bezczelnie.

PRÓBA DIALOGU:

— **343...**

— **Dobrze. Ale niech pan wyjdzie pierwszy.**

— **Dlaczego?**

— **Tak będzie lepiej. Oni tu mają teraz na mnie oko.**

— **Przyjdziesz na pewno?**

— **Tak. Tylko niech pan uprzedzi windziarza.**

☆ ☆ ☆

— **Nie wiedziałam, że pan jest Polakiem.**

— **Przeszkadza to pani?**

— **Trochę.**

— **Mogę pani zapłacić w koronach.**

— **W jakich?**

— **W szwedzkich.**

— **Dobrze. Proszę dać mi jakiś zadatek.**

☆ ☆ ☆

— **Mój ojciec jest dyrektorem.**

— **Więc nie cierpisz biedy?**

— **Pewnie, że nie. Ja po prostu lubię takie życie.**

— **Robisz to systematycznie?**

— **Nie. Raz, dwa razy w miesiącu i nigdy z Polakami.**

Kiedy myślę o tym wszystkim, trafia mnie szlag. Z jednej strony jestem nawet skłonny uwierzyć, że problem jawnej prostytucji zostanie w poważnym stopniu rozwiązany. Jednakże z drugiej — zdaję sobie sprawę, że zjawisko nierządu ma swoje poważniejsze i głębsze przyczyny, których szukać należy nie tylko w orbisowskich hotelach i kawiarniach.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

(Dalszy ciąg wkrótce)

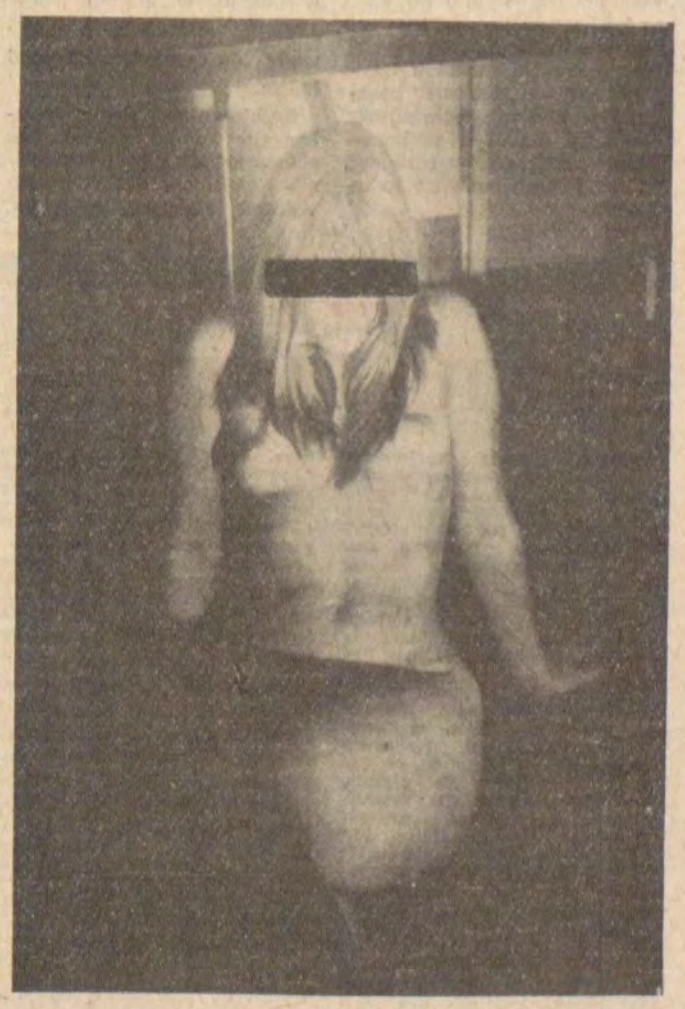

ANDRZEJ SROCZYŃSKI

MISTRZ

(DEBIUT)

W dzielnicy, w której się wychowałem, było wiele ciekawych typów. Jednak najbardziej utkwił mi w pamięci szewc — pan Sadurski. Postać barwna i pełna wyrazu w różnych przejawach życia. Zetknąłem się z nim po raz pierwszy jako ośmioletni chłopiec. Warsztat jego znajdował się po przeciwległej stronie ulicy, na której mieszkałem. Wiosną i latem drzwi były zawsze otwarte, a mistrz, przeważnie pijany, wyśpiewywał na cały głos. Jeśli nie śpiewał, to klął. Ale trzeba było słyszeć jak! Na naszej ulicy wielu opanowało tę sztukę, jednak mało kto tak, jak szewc Sadurski.

Syn jego, Paweł, mój rówieśnik — „odnoga z piekła rodem" — chodził w glorii sławy ojca. Zazdrościliśmy Pawłowi takiego ojca. Z klatką piersiową gladiatora, ramionami jak konary grubego drzewa, z dużym brzuchem i okrągłą, goloną „na kolano" głową siedział zazwyczaj w warsztacie w skórzanym fartuchu założonym na goły tors i wyśpiewując walił młotkiem w zelówki lub obcasy.

Czasem Paweł zapraszał mnie do siebie. To była uczta duchowa. Mistrz Sadurski patrzył na nas z dezaprobatą dopóty, dopóki Paweł nie zapytał:

— Ojciec, mogę pokazać zdjęcia i dyplomy?

— Pokaż, psi...

Genitalia, w różnych odmianach ludzkich i zwierzęcych, najczęściej przewijały się w jego określeniach. Paweł wyciągał albumy i patrzyliśmy w zachwycie. Oto pan Sadurski na podium zwycięzców dekorowany szarfą mistrza okręgu łódzkiego w zapasach w stylu wolnym, to znów pełna napięcia zastygłego w ruchach i wysiłku fotografia mistrza trzymającego w „nelsonie" przeciwnika. Potem oglądaliśmy dyplomy, medale i próbowaliśmy wciągnąć w rozmowę mistrza. Często nam się to udawało.

— Widzicie chłopaki, grunt to sport. Musicie ćwiczyć. Ja mam czterdzieści lat i widzicie?

Teraz następował kulminacyjny moment — pokaz sprawności fizycznej. Patrzyliśmy z zapartym tchem na zgięte i naprężone ramiona, żylaste i owłosione z bułami muskułów i zarysowanych podłużnych mięśni.

— Biceps 51 — mówił.

Następnie opuszczał ramiona, przygarbiał się i wydawał dźwięki jakby sam siebie podniecał:

— Chh, chh, chh!

Wysuwał głowę i dolną szczękę do przodu. Naprężał opuszczone ręce i zakładał je do tyłu. Na karku wyskakiwały dwa garby mięśni. Przpominał mi wtedy byka widzianego na wakacjach na wsi. Z otwartymi ustami, niemal nie oddychając, patrzyliśmy. Teraz mistrz robił półobrót:

— Chh, chh, chh!

Podnosił jedną rękę zgiętą w łokciu do góry, stawał bokiem do nas łypiąc przy tym okiem, czy patrzymy dość uważnie. Od pachy do biodra tworzyły mu się jakby skrzydła z mięśni. Na zakończenie stawał przodem, opierał ręce na biodrach i prezentował klatkę piersiową złożoną z dwu potężnych i wypukłych tarcz.

— Tak, gnojki! Nie latać po ulicy, tylko brać się do roboty — ćwiczyć!

Brudno i biednie było u mistrza Sadurskiego mimo, że zarabiał świetnie. Fachowiec był dużej klasy i klienci walili do niego jak w dym. Brud był wszędzie, tylko kąt w pokoju, w którym były sztangi, hantle i inne przyrządy do ćwiczeń, zdumiewał ładem.

Rozbieraliśmy się z Pawłem do majteczek i prężąc chłopięce piersi, podnosiliśmy najlżejsze hantle. Mistrz wstawał czasem ze stołka, podchodził, brał stukilową sztangę, robił skłon i wyrzucał ciężar w górę.

— Boże — wzdychaliśmy — mieć taką siłę.

Matka jednak krzywo patrzyła na te wizyty u mistrza.

— Fachowiec dobry, ale bluźnierca i pijak. Brak mu żony. Masz tam nie chodzić, bo po pysku dostaniesz, rozumiesz?

Pewno, że rozumiałem, tylko że dostawanie po pysku nie było ani nowością, ani karą, wręcz przeciwnie. Jeśli przez parę dni nie dostałem w domu wałów, chodziłem jak struty wiedząc, że zbiera się wszystko na jeden raz, czyli gruntowne lanie. Nie wiedziałem wtedy na czym to polegało, ale po dobrym biciu czułem się czysty i dumny. Po egzekucji, wychodząc z pajdą chleba na podwórko, nie chciałem gadać z kolegami, byłem w tak podniosłym i uroczystym nastroju. Toteż kiedy tylko mogłem, leciałem do warsztatu. Mistrz Sadurski darzył mnie dużą sympatią.

— I co ty sobie myślisz barani... Chłop jak dąb i nic nie robisz. Góry masz długie, zapisz się do klubu i lataj chociaż, a nie papierosy po sraczach palić.

— Zapisałem się na pływanie, panie Sadurski.

— Dobre i to, chociaż najlepszy sport — to zapasy.

Mimo, że klął na nas, nie czuło się złości w jego wyzwiskach, wręcz przeciwnie. Natomiast swoje nerwy dość często wyładowywał na klientach. Nie liczył się z nikim. Obojętne, czy to była kobieta, czy mężczyzna. Parę razy obrażeni klienci sprowadzili mu milicję. Byłem świadkiem takiej rozmowy:

— Panie, za przybicie blaszek 10 złotych? To zdzierstwo!

Mistrz popatrzył na faceta, splunął w kąt warsztatu i powiedział:

— Znikaj, chmyzie. I więcej mi się w warsztacie nie pokazuj.

Facet zsiniał.

— Ja... ja... panu pokażę — wyjąkał i wybiegł.

Mistrz sięgnął po butelkę stojącą koło nogi, pociągnął, splunął przez otwarte drzwi na ulicę. Za chwilę klient wrócił z milicjantem.

— Ten — wskazał palcem mistrza — naubliżał mi w taki sposób, że wstydzę się powtórzyć i w dodatku przy tej nieletniej dziecinie — mówiąc to wskazał na mnie palcem.

Mistrz podniósł się ze stołka w całej okazałości.

— Ty rybi..., czy chcesz, żebym skuł ci tę parszywą mordę? Paszoł won — wskazał palcem otwarte drzwi.

Milicjant niepewnie zaczął:

— Daj pan spokój, panie Sadurski. Nie ubliżaj pan przy mnie obywatelowi.

— Jeszcze tu jesteś? — szewc zdawał się nie słyszeć i postąpił krok naprzód.

Faceta zmiotło. A ja ledwie zdążyłem splunąć na nogawkę spodni uciekającego w popłochu.

— Oj, Sadurski, doigrasz się wreszcie.

A ja mam to w d..., rozumiesz?

Wyszedłem pełen uznania dla mistrza. Milicjant z panem Sadurskim tęgo widać pociągnęli z butelki, bo wracając za godzinę z lekcji religii zobaczyłem, że przedstawiciel władzy niezbyt pewnie wychodził z warsztatu.

Upłynęło sporo lat. W międzyczasie zdążyłem być w klasztorze, gdzie matka oddała mnie na edukację do księży Selezjanów w Lutomiersku. Zdążyłem także zetknąć się z sądem dla nieletnich. Ulicą moją zaczęły jeździć tramwaje. Kocie łby zniknęły. Pojawił się asfalt. Paweł się ożenił i wyprowadził od ojca. Mistrz Sadurski jednak nadal prosperował. Złożyłem mu wizytę już jako siedemnastoletni chłopiec.

— No, baranie, wyrosłeś. Z ojszczymurka zrobił się chłop — popatrzył ciepło na mnie.

— Trenujesz coś?

— Tak, panie Sadurski, pływam w „Ogniwie". Zdobyłem trzecie miejsce w mistrzostwach łódzkich juniorów.

— Bardzo dobrze. Zuch jesteś. Ten mój — zdenerwował się mistrz — zasraniec zamiast za zapasy, wziął się za kobitę. Pies go trącał. Ja go znać nie chcę.

Nawet nie próbowałem tłumaczyć Pawła. Raz po raz wpadałem do mistrza na pogawędki, najczęściej w sobotę, by razem poćwiczyć sztangą. Po skończeniu szliśmy do łaźni rzymsko-ruskiej. Którejś soboty mistrz w białej koszuli i krawacie, który zdawał się tkwić wprost na barkach (bo szyi mistrz nie miał), zakładając marynarkę powiedział:

— Dziś gówno z zaprawy. Idę na randkę.

Zdębiałem nie wiedząc co powiedzieć. Spojrzał na mnie jeszcze raz. Splunął.

— Idź, nie stój jak na weselu.

— Sadurski wziął sobie kochankę — powiedziała do mnie matka przy obiedzie.

Za jakiś czas pojawił się na drzwiach warsztatu nowy lśniący szyld:

MISTRZ SZEWSKI —
STANISŁAW SADURSKI
NAPRAWA OBUWIA
DAMSKIEGO I MĘSKIEGO
ODNAWIANIE I WSZELKIE
REPERACJE

Wszedłem do warsztatu. Aż mnie zatkało ze zdumienia. Wszystko lśniło czystością. Mistrz trzeźwy, ogolony, w czystej koszuli walił młotkiem w but i śpiewał: „ankohol to zguba ludzkości".

— A, przyszedłeś. To dobrze. Helcia! — zawołał w głąb pomieszczenia.

Wyszła kobieta lat około trzydziestu. Rosła, tęga i chyba ładna.

— To jest kolega Pawła. Znam go od szczeniaka. Przyłazi tu do mnie. Bez mała zrobił się mój kolega. Niegłupi chłopak.

Z szacunkiem pocałowałem panią Helcię w rękę.

— Pozwolisz kochanie, by przychodził w soboty poprzerzucać trochę żelastwa?

— Niech przychodzi.

Pogadałem jeszcze chwilę i wyszedłem nie mogąc się nadziwić jak to się stało, że mistrz ani nie zaklął, ani razu nie splunął w kąt. Za głupi wtedy widać byłem, by zrozumieć, że mistrz dostał się w stalowe, o wiele mocniejsze ręce niż jego własne, a także, że miłość może dokonać cudu. Było to zresztą zaskoczeniem dla wszystkich. Ale sensacja jednak z wolna ucichła. Ludzie przyzwyczaili się, że mistrz Sadurski był teraz zawsze czysty, ubrany jak amerykański businessman. W niedzielę chodził dumnie pod rękę z panią Helcią uchylając kapelusza znajomym. Któregoś dnia w „Dzienniku Łódzkim" ukazała się wzmianka, że mistrz szewski, Stanisław Sadurski, dostał dyplom za najlepiej wyposażony warsztat pracy. I że jedyny w Łodzi reperuje zagraniczne szpilki damskie. Jego stosunek do klientów był teraz pełen grzeczności i kurtuazji. Z całego miasta kobiety przychodziły do mistrza z wymyślnymi reperacjami. Zawistni twierdzili, że pewnie niedługo kupi sobie samochód. Ale to wszystko było nic. Któregoś dnia przyszedłem pożyczyć forsy od mistrza.

— Wyjeżdżam z Helcią do Italii — pochwalił się. — Z cechu dostałem przydział.

Otworzyłem jak dawniej gębę. Mistrz Sadurski, który po skończeniu kariery zapaśnika całe życie tkwił w warsztacie, i który najdalsze podróże odbywał do hali sportowej i do łaźni rzymsko-ruskiej, wyjeżdża za granicę!

„Świat się wali" — myślałem. Znów zaimponował mi ogromnie.

Na pewien czas zniknąłem ze swego rodzinnego miasta. Gdy wróciłem, jak zwykle zaszedłem do mistrza. Brudno. Mistrz smutny, splunął w kąt jak dawniej.

— Doigrałeś się rybi... — powiedział, mając na myśli moją odsiadkę w kryminale, jednak bez dawnej pasji.

— A no, stało się.

— Ja też, widzisz, jestem sam. Zostawiła mnie dziwka. Wzięła młodszego. Zdarza się.

Popatrzyłem z żalem na niego.

— Panie Sadurski, to może przyszedłbym w sobotę. Porzucalibyśmy trochę żelastwem.

— Dobra.

Przyszedłem, ale go nie zastałem. Dowiedziałem się, że zabrało go pogotowie. Dostał krwotoku żołądka. Nie było ratunku. Złośliwy nowotwór.

Teraz wisi nowy szyld:

NAPRAWA OBUWIA —
JAN KUC

Poszedłem zobaczyć nowego właściciela warsztatu. Ani to człowiek, ani szewc. Aż złość bierze, że na mojej ulicy wisi taki szyld.

ROMAN GORZELSKI

Fot. W. Jastrzębski

ZAMYŚLENIE

- - - - - - -
- - - - - - -
- - - - - - -
- - - - - - -
- - - - - - -
- - - - - - !

STRZELANIE

.....!
.....!
.....!
.....!
.....!
.....

DROGA W GORĄCE

! Z Z Z Z Z !
! Z Z Z Z Z !
! Z Z Z Z Z !
Z ! ! ! ! ! Z
Z ! ! ! ! ! Z
Z ! ! ! ! ! Z

OPOWIEŚĆ KRYMINALNA

? ? ? ? ? ? ?
? ? ? ? ? ? ?
? ? ? ? ! ? ?
? ? ? ? ? ? ?
? ? ? ? ? ? ?
? ? ? ? ! • !

LICHWIARZ

% % % % % % %
% % % % % % %
% % % % % % %
% % % % % % %
% % % % % % %
% % % % % % •

SAMOTNOŚĆ

. . . . / . .
L . . . . . .
. . T . . . .
. . . . . L .
. . . .
T . . . . / .

Powrót do znaku

Termin „poezja konkretna" sytuuje teksty Romana Gorzelskiego wśród dokonań ruchu artystycznego, którego praktyka poetycka jest buntem przeciwko gramatyce, przeciwko słowu — przelewającemu się w monstrualnej masie komunikatów językowych, otaczającej i przytłaczającej na co dzień współczesnego człowieka.

U źródeł poetyki tekstów Romana Gorzelskiego leży interpretacja litery, a raczej szerzej — znaku pisarskiego. Elementarnymi jednostkami znakowymi będącymi w dyspozycji współczesnego poety są czcionki jego maszyny do pisania. Czcionka stanowi dla Gorzelskiego samodzielną wartość znakową. Oznacza pojęcia, „%" — „zysk"; „=" — „równość"; „A" — „początek"; „Z" — „koniec". Projekcja znaczeniowa czcionki jest otwarta. Podkreśleniem tego faktu jest zamknięcie czcionek w płaszczyźnie kwadratu, której plastyczną i semantyczną czystość objawił Kazimierz Malewicz. Oto „O": zero, znak kuli lub okręgu („ziemia", „słońce", „ludzka głowa"; przenośnie: „sytuacja bez wyjścia"), obraz dziury („rozdziawione usta"). „+" sugeruje pojęcie „sumowania", „czegoś na plus", ale także krzyż — symbol śmierci. Znak „!" oderwany od słowa wywołuje pojęcie emocji lecz może być także wizerunkiem bomby lotniczej.

Takie ujęcie czcionki jest materiałem do refleksji nad jej wielopoziomową egzystencją semantyczną. Znak pisarski funkcjonuje nie tylko w płaszczyźnie ukonstytuowanej w języku. Może odwoływać się do kodów specjalnych, np. do kodu symboli matematycznych lub do specjalnych notacji językowych, np. do alfabetu Morse'a. Wartość wizualna znaku pisarskiego daje mu szanse dotarcia wprost do przedmiotu, do początków funkcji pisma, kiedy odwzorowywało ono wizję, nie dźwięk, kiedy „M" w swej prapostaci było linią łamaną oznaczającą „wodę", „A" — odwróconym i uproszczonym rysunkiem głowy wołu, a cyfra „V" — obrazem rozpostartej dłoni. Skrajną konsekwencją ujęcia znaku pisarskiego są naiwne „maszynowe obrazki", w których stygmat języka, litera, jest już tylko jakością plastyczną, kreską konstruującą rysunek przedmiotu.

Teksty Gorzelskiego, eksterminując słowo, wskazujące nam na inne możliwości notacji poetyckiej, w zakresie organizacji znaków odwołują się do naszych przyzwyczajeń czytelniczych. Podczas gdy konkretyści dezorganizują chronologię odczytu, np. tak:

N I E
b
I być I
ć
E I N

Gorzelski najczęściej układa znaki w „wierszach" tekstu, od strony lewej do prawej. Powstają w ten sposób fabularne historyjki, zwykle z pointą.

„PRZEMÓWIENIE". Uszeregowane znaki tworzą zorganizowany w czasie negatyw wygłaszanej mowy; wykrzykniki i pytajniki to akcenty emocjonalne; szeregi przecinków to notacje płynących zdań; średnik rozdziela akcję mówcy i reakcję słuchaczy.

„LICHWIARZ" złożony jest z natarczywie powtarzającego się znaku „%". Następuje pointa: „+" (ś.p.). Na podobnej zasadzie skonstruowane są teksty: „KSIĄŻKA W JĘZYKU OBCYM", „ZAMYŚLENIE" „STRZELANIE".

Lapidarność semantyczna izolowanej czcionki daje tekstom Gorzelskiego szanse metaforyczne, skłania odbiorcę do refleksji intelektualnej. Banalne historyjki o lichwiarzu czy o samotności („SAMOTNOŚĆ") mogą być dla myślącego człowieka materiałem do ogólniejszych przemyśleń, mogą otworzyć jego własny świat poezji i na tym polega ich sens humanistyczny.

„DEMOKRACJA". Szereg znaków matematycznych ma puste miejsca. Może to jest prawda o równości? „STRZELNICA". Strzelają różni strzelcy i osiągają różne wyniki. Celem ostatecznym tego zajęcia jest „+" na grobie lub na piersi. „PRZEWROTNOŚĆ". Znaki „M" — „W" i „6" — „9" są odwracalne. Tylko „O" nie daje się odwrócić, zawsze będzie „zerem".

Poezja konkretna Romana Gorzelskiego jest wyraźnie zaadresowana: człowiek myślący i bawiący się stanowi produkt i materiał intelektualnej rozrywki.

JACEK WESOŁOWSKI

FILM

TEMAT

Film „JEDYNYM WYJŚCIEM JEST ŚMIERĆ" Johna Trenta trudno będzie uznać za utwór, który o kinematografii kanadyjskiej może powiedzieć coś więcej. Jego temat jak i realizacja nie niosą ze sobą nic, co mogłoby świadczyć o jakichś cechach własnych kanadyjskiego kina. Jednak modny temat filmu i przypominająca amerykańskie wzorce reżyseria mogą mu jednak zapewnić powodzenie.

Kanadyjski multimilioner Trask w niedostępnych górach zbudował potężny, supernowoczesny ośrodek naukowy, do którego ściągnął wybitnych naukowców i lekarzy-praktyków, zapewniając im znakomite warunki badań i pracy. Para młodych bohaterów, wybitny chirurg-transplantolog i jego ukochana, równie znakomity hematolog, odkrywają straszliwą tajemnicę Traska, który całą tę znakomitą naukową ekipę kompletuje, mając na uwadze wyłącznie czekającą go transplantację serca. Ściąga też do swego „miasta nauki" potencjalnych dawców tego serca, stwarza wszelkie biologiczne i praktyczne warunki dla ratowania swego zagrożonego życia. Nie trudno się domyślić, że film wypełnia walka dwojga lekarzy ze zbrodniczym i potężnym Traskiem. Nie brak w filmie sensacji, choć w poszczególnych rozwiązaniach sytuacyjnych dość schematycznej. Potęguje ją też niezwykła oprawa supernowoczesnej techniki, pozostającej na usługach właściciela „miasta nauki". Dla przydania emocji dodatkowych, serwuje się też nieco osłupiałej publiczności, która — było nie było — wybrała się na film fabularny, mały seans medycznego filmu dydaktycznego, ukazującego zabieg chirurgiczny, dokonywany na sercu. Realizatorzy czynią to w sposób wcale nie umowny, do czego przyzwyczaiło nas kino, które przecież lubi wprowadzać ludzi do sali operacyjnej. Amerykańska obsada aktorska tego filmu zapewniła świetną rolę Traska, którego gra Burl Ives, hollywoodzki mistrz ról drugoplanowych (otrzymał za nie Oscara).

W gatunku fantastyczno-sensacyjnym film „Jedynym wyjściem jest śmierć" sytuuje się na niezłej pozycji, choć wydaje się, że w sprawniejszych realizatorskich rękach modny ten temat mógłby zyskać zarówno na poprowadzeniu napięć i rozwiązań fabuły, jak i nośności intelektualnej.

A jeśli do kina...

„GANGSTERSKI WALC" — reżyserował Georges Lautner, francuski specjalista od filmów gangsterskich, który tym razem parodiuje uprawiany przez siebie gatunek, stosując z powodzeniem stylistykę komiksu. Sam reżyser nazwał ten film „kryminalnym wodewilem", a do „walca" zaprosił tak znakomitych aktorów, jak: Jean Yanne, Bernard Blier, Michel Constantin i tak atrakcyjną dziewczynę, jak Mireille Darc. Kto lubi dramaty gangsterskie, ten na „Gangsterskim walcu" bawić się będzie.

„TYLKO WTEDY, GDY SIĘ ŚMIEJĘ" — film angielski, posiada równie znakomitą obsadę. Wystarczy wspomnieć udział w tej sensacyjnej komedii Davida Hemmingsa — niezapomnianego bohatera „Powiększenia" i Richarda Attenborougha — bohatera dziesiątków angielskich filmów, spośród których przypomnijmy choćby tylko pozostające na biegunach gatunku — „Wielką ucieczkę" i „Ligę dżentelmenów". Attenborough jest w tym filmie głównym autorem jego sukcesu, choć sam film zrealizowany jest na podstawie książki, która była bestsellerem w okresie mody na super-agenta, Jamesa Bonda. Atmosferę tej komedii, parodiującej właśnie modę na sensacyjno-gangsterskie opowieści, niech scharakteryzuje sam tytuł filmu. Przebity włócznią człowiek odpowiada na pytanie, czy go to boli — „tylko wtedy, gdy się śmieję".

„Z TAMTEJ STRONY TĘCZY" — nowy twór polskiej kinematografii, film Andrzeja J. Piotrowskiego — jest parodią, tym razem nie zamierzoną, jest to parodia filmu psychologicznego. Portret „kobiety trzydziestoletniej", samodzielnej pani doktor-anestezjolog, bywałej na zagranicznych stypendiach, mądrej i atrakcyjnej w swych niewieścich wdziękach — w rysunku polskich autorów wypada tak żałośnie, iż chcąc nie chcąc musimy go jako parodię zamierzeń traktować. Znawca „duży kobiecej" i autor „Kobiety trzydziestoletniej", o czym poucza nas ostatnio inny polski film, sam Honoriusz Balzac, osłupiałby zapewne na widok takiego portretu. Panowie — litości!

EWA NURCZYŃSKA

TV

TEATR NIEDUŻY JEREMIEGO PRZYBORY

Nieduży, ale za to wyśmienity. X333 (do sześcianu) może być wizytówką uprawianego przez Jeremiego Przyborę gatunku. Znamy od dawna tego utalentowanego i wszechstronnego autora. Właśnie autora, gdyż Przybora występuje tu w roli sprawnego dramaturga, reżysera i aktora. Wydaje się, że w swoim teatrze potrafi zrobić wszystko. I chyba robi to, bo nie pamiętam jeszcze od czasu Teatru „Eterek", żeby Przybora nas zawiódł, żebyśmy oglądając jego utwory nie uśmiali się serdecznie, ale również nie zamyślili nad jego dziwnym światem. Światem z groteski, absurdu, często czarnego humoru, ale który w jakże licznych momentach przypomina nam rzeczy skądś dobrze znane, jakby samo życie mrugało do nas znacząco okiem.

X333 jest utrzymany w tym właśnie klimacie. Pomysł widowiska jest szatańsko prosty i wydaje się, że tylko ktoś taki jak Przybora mógł na taki pomysł wpaść. W kraju Jego Kwintesencji istnieje idealna równowaga między ilością obywateli i agentów, którzy ich nieustannie śledzą. „Dramat" rozpoczyna się kiedy agentowi X333 umiera podopieczny i nasz bohater pozostaje bez przydziału. Zadanie by śledzić samego siebie jest tylko pozornie łatwe. Agent wpada w kompletną frustrację i wkrótce podąża w ślady swego podopiecznego.

Przybora, który, jak powiedziałem, jest AUTOREM, zadbał o wszystko. Dobrał (jak zwykle) doskonałych aktorów z którymi od lat współpracuje. Pod jego ręką nawet Łazuka, który ostatnio jako aktor nie błyszczał, spełnił świetnie swe zadanie. Poza nim wystąpiła „gościnnie" Aleksandra Śląska i niezawodny w takich rolach jak obecny Pułkownik, Mieczysław Czechowicz. Dodajmy do tego tańce hiszpańskie, ładnie brzmiącą balladę-przerywnik między poszczególnymi scenami, pomysłową scenografię i wiele, wiele skrzących się dowcipem pomysłów i sytuacji — by ręce same złożyły się do oklasków.

Foto: ELENA HRONSKA
(Bratysława)

Telewizja CSRS nadała ostatnio sztukę pisarza łódzkiego, Władysława Orłowskiego, „Spektakl w teatrze Forda" (Predstavenie vo Fordovom divadle). Sztuka ta realizowana była w 1970 r. w Teatrze TV Warszawa. Obecnie wystawił ją Teatr TV Bratysława w przekładzie dr Dusana Siroky'ego i w reżyserii Franka Chmiela. Główną postać zabójcy prezydenta Lincolna, aktora Bootha, zagrał Ivan Mistrik, a Narratorem był zasłużony artysta Ladislav Chudik.

Na zdjęciu: kulminacyjny moment widowiska — zabójstwo Abrahama Lincolna — w wykonaniu aktorów bratysławskich.

JAROSŁAW TARNO

TEATR

MASONIA

Moje stare sentymenty do teatrów studenckich nie równoważą jednak niepokoju o ich dalszy rozwój. Przykład „Pstrąga" może być charakterystyczny dla takich mieszanych uczuć, a konkretnie dwa ostatnie spektakle, jakie widziałem w tym teatrze.

— Podczas IX Studenckich Spotkań Teatralnych w Łodzi „Pstrąg" nie został zakwalifikowany do programu owego ogólnopolskiego spotkania. „Hiperetiudę", o której mowa, mogliśmy zobaczyc poza oficjalnym programem i chyba podzielić zastrzeżenia organizatorów. Ten eksperyment w moim przekonaniu się nie udał. Mimo najlepszych chęci i... poświęcenia zespołu. Nie ma w tym określeniu zbyt wielkiej przesady, bo spektakl polegał na zamknięciu się zespołu w teatrze, odizolowaniu od świata zewnętrznego na 48 godzin, po czym doszło do spotkania z publicznością.

Jaki to spotkanie przyniosło efekt? Nasuwa się również wątpliwość, czy udział publiczności był w tym finale potrzebny? Dochodzimy w ten sposób do absurdu, bo teatr nie może funkcjonować bez publiczności. A autorom „Hiperetiudy", jakby chodziło głównie o to. Zrobili spektakl, który był samą improwizacją, od początku do końca. Zdecydowali się na izolację, kontemplując swój sztucznie stworzony mikroświatek, ufni, że doznają przeżyć oryginalnych i autentycznych, zdobędą się na samookreślenie, refleksję, która może być jakąś propozycją dla publiczności. Swe wrażenia zapisywali na kartkach. Słuchaliśmy tych wierszy (?) złotych myśli (?) publicystyki (?) — bez żadnego wrażenia. I myślę, że szkoda było tego czasu, tych zmarnowanych godzin. Mimo sympatii dla zasłużonego „Pstrąga" opuszczałem salkę przy Wólczańskiej z zażenowaniem.

„Masonię", zrealizowano wg St. I. Witkiewicza „Wampir we flakonie czyli zapach welonu". Jest to przykład, że teatr ma za sobą okres nieporozumień, że na powrót mamy do czynienia z eksperymentującym, poszukującym nowych form i treści teatrem, a nie grupą happeningową.

„Masonia" w swej warstwie faktograficznej może być uważana za sztukę-groteskę przedstawiającą ciąg scen mniej lub bardziej logicznie ze sobą powiązanych, o tym, jak sobie powszechnie wyobrażaliśmy wolnomularskie praktyki. Misterium to jednak ma głębsze odniesienia, ma ambicje pokazania ludzkich postaw, reakcji, wewnętrznych przeżyć i niekontrolowanych odruchów, działania instynktownego. Zostało to pokazane przekonywająco, dynamicznie, ze szczerością uczuć, która nie mogła pozostawić widza obojętnym.

Ten trudny w inscenizacji spektakl, wymagający również dużego wysiłku i sprawności fizycznej od aktorów, był udanym sprawdzianem możliwości całego zespołu. Brak programu na premierze (nb. zdarzało się to też teatrom zawodowym) uniemożliwia przedstawienie wszystkich autorów i wykonawców. (Chociaż to nie jest najważniejsze, bo w rozmowach podkreślano współudział całego zespołu; możemy w jakimś sensie mówić o autorstwie kolektywnym).

Na podstawie skąpych informacji wymienię tylko Krystynę Piaseczną, która jest autorem scenariusza i inscenizacji. Opracowanie plastyczne jest dziełem bułgarskiego studenta Michaiła Czernaewa, który doskonale odtworzył witkiewiczowski klimat sztuki i dał przykład niebanalnej wyobraźni. Tej wyobraźni nie brakło w całej koncepcji przedstawienia. Miejscem akcji była w „Masonii" zarówno scena, widownia i foyer. Nie było tu tradycyjnych podziałów, na miejsce dla aktorów i publiczności. Efektownie rozegrano akcję na wielu planach, na zasadzie retrospekcji i kontrapunktów do głównego wątku dramaturgicznego.

Był to więc dynamiczny teatr ruchu, gestu, muzyki i poezji, teatr barwy i metaforycznych rekwizytów, symboli — w sumie teatr żywy, chociaż pretekstem był tu świat przeszłości.

JERZY WAWRZAK

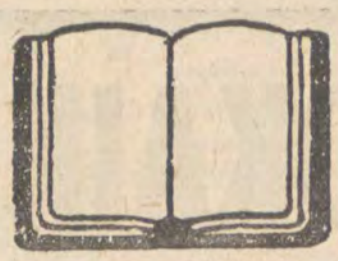

SPOD LADY

KSIĄŻKA

Podejmuję ryzyko wytypowania bestsellera roku 1973. Nie będą nim, wbrew potocznym, obiegowym sądom „Pamiętniki" Casanovy, tylko pierwszy, nowo opracowany w Polsce Ludowej „Słownik poprawnej polszczyzny" pod redakcją prof. dra Witolda Doroszewskiego i doc. dr Haliny Kurkowskiej. Zawiera on 27 tysięcy haseł, podczas gdy jego poprzednik, dobrze wysłużony i wielokrotnie po wojnie wznawiany „Słownik poprawnej polszczyzny" St. Szobera, obejmował 17 tysięcy haseł. Nie odpowiadał on też współczesnym potrzebom, jako że szybki rozwój nauki i techniki, przeobrażenia społeczne dokonane i dokonywające się, nie mogą nie odbijać się w języku, który wzbogaca się o nowe wyrazy i nowe formy wypowiedzi.

Słownik przeznaczony jest dla szerokiego kręgu odbiorców, a zwłaszcza dla młodzieży szkół średnich i wyższych, dla nauczycieli, pracowników wydawnictw, prasy, radia, telewizji, dla wszystkich używających słowa jako narzędzia pracy. „Słownik poprawnej polszczyzny" został wydany przez PWN (100 tys. egz., cena zł 160), które obiecuje w roku 1974 „Wielki słownik ortograficzny", a w roku 1975 — trzytomowy „Słownik języka polskiego".

Nie wszyscy może wiedzą, że najmłodszą, choć rokującą duże nadzieje na przyszłość, dziedziną działalności Biura Wydawniczo-Propagandowego RSW „Prasa-Książka-Ruch" są albumy. Wydawnictwo to opracowuje dwie wielotomowe serie, utrzymane w jednolitej koncepcji redakcyjnej i w jednolitym opracowaniu graficznym i edytorskim: jedną poświęconą twórczości wybitnych malarzy polskich i drugą, obejmującą twórczość czołowych malarzy europejskich. Obie serie albumowe starają się w możliwie przystępny i atrakcyjny sposób zapoznać szeroki krąg czytelników z sylwetkami twórców tego malarstwa, które na trwałe weszło do historii. Przyjęto zasadę podziału każdej pozycji na trzy części: esej wstępny, wprowadzający w problematykę życia i twórczości danego artysty, część zawierającą wypowiedzi współczesnych i potomnych o malarzu, ewentualnie jego własne wypowiedzi, wreszcie kronika wydarzeń, obejmująca ważniejsze fakty i daty związane z okresem, w którym żył i tworzył, oraz wybrana bibliografia.

Albumy te spotykały się z wysoką oceną i uznaniem specjalistów, zdobywając szereg nagród i wyróżnień w dorocznych konkursach Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek. W tym roku główne nagrody przypadły w udziale „Stanisławskiemu" i „Velazquezowi".

PIW przygotował 2-tomowe „Raporty szpiega". Zawierają one obszerny wybór z korespondencji służbowej carskiego agenta i prowokatora, Juliusza Bałaszewicza, działającego w środowisku polskiej emigracji we Francji i Anglii w latach 1861—1876 pod nazwiskiem Alberta Potockiego. Autor tych raportów, Polak z pochodzenia, był wprowadzony we wszystkie tajniki organizacyjne i projekty niepodległościowe wychodźstwa polskiego, o których sumiennie informował Petersburg. Na swoim koncie szpiegowskim miał spore „osiągnięcia", jak na przykład zdobycie wiadomości o przewidywanym terminie wybuchu powstania styczniowego, porożnienie Bakunina z Hercenem i intrygi, zmierzające do pozbawienia Marksa wpływów w Międzynarodówce.

Niezadowolonych z rodzimej gastronomii odesłać możemy do wydanej, również przez PIW, książki Anthelme Brillat-Savarina „Fizjologia smaku albo Medytacje o gastronomii doskonałej". Brillat-Savarin (1755—1826), z zawodu sędzia, z zamiłowania znawca spraw kulinarnych, a z temperamentu bajczarz, pozostawił po sobie kilka książek, z których największą sławę zyskała „Fizjologia smaku". Stanowi ona zajmującą lekturę nie tylko dlatego, że autor z humorem opisuje rozrywki towarzyskie, spotkania, rozmowy, nade wszystko zaś „rozkosze stołu", ale i dlatego, że pozwala nam poznać pewne cechy Francuzów „od strony kuchni". Książkę wzbogacają ilustracje Bertalla.

JAN OKOPIEŃ

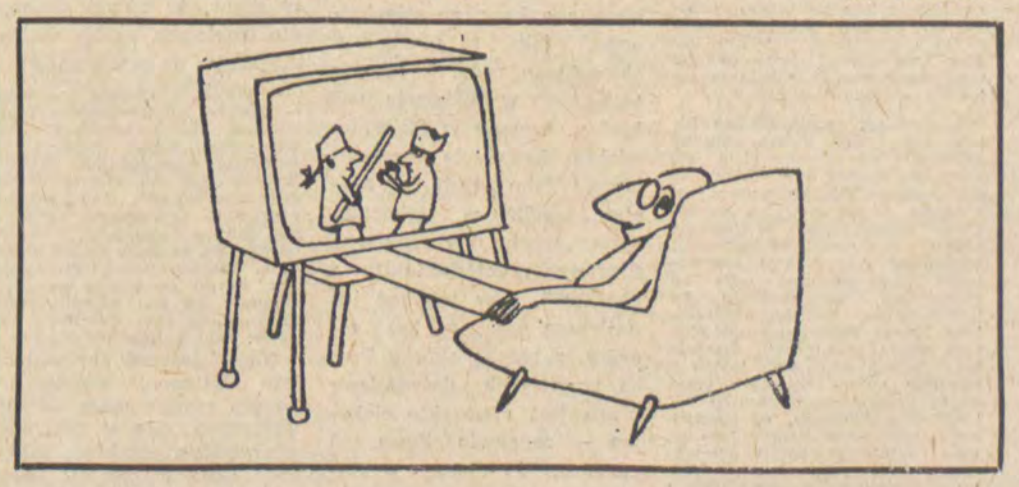

KOKAINA...

Jest dość wysoki, o smagłej cerze, ma 58 lat i troje dzieci. Trzyma w swych rękach największy podziemny rynek handlu narkotykami we Włoszech. Mieszka w Mediolanie, chroni go dwudziestu „goryli". Nie ma ani biur, ani sekretarek, ani nawet osobistego telefonu. A mimo to, w każdej chwili ma pod ręką co najmniej sześćdziesięciu ludzi, którym regularnie wypłaca uposażenie plus wysokie premie od sprawnej i szybkiej sprzedaży „towaru".

Figuruje w kartotekach policyjnych dziesięciu krajów zachodnioeuropejskich, a mimo to gładko omija więzienia. Miliarder, właściciel luksusowych willi w różnych rejonach Włoch, pisze w rejestrach podatkowych, że jest człowiekiem „niezamożnym" i płaci podatki od dochodów, nie przekraczających ośmiu milionów lirów...

Znany jest pod nazwiskiem **Antonio Coniugato**, ale nikt nie wie na pewno, czy to jest jego prawdziwe nazwisko. Zrobił błyskawiczną „karierę". Wystarczyło mu zaledwie dwa lata, żeby poznać rynek handlu narkotykami, nie tylko we Włoszech, i otoczyć się doborową bandą ludzi gotowych na wszystko, a następnie jeszcze tylko jeden rok, by pokazać, że ma mnóstwo pieniędzy i że w każdej chwili może znaleźć ludzi gotowych do udzielenia mu nieograniczonych kredytów.

W ciągu dziewięciu lat Antonio Coniugato stał się „ogólnie poważanym człowiekiem" w Mediolanie, to jest o wiele szybciej, niż na przykład taki Luciano Ligio w Carleone, czy Al Capone w Chicago. W ostatnich dwóch latach nie tylko umocnił swoją pozycję na światowych rynkach handlu narkotykami, ale także potrafił położyć rękę na wszystkich nieomal dźwigniach, uruchamiających mechanizmy podziemnego handlu narkotykami i krociowych dochodów.

„Główną kwaterą", z której kieruje Coniugato swymi ciemnymi interesami, jest maleńka restauracyjka niedaleko od Port-Tichinese. Na pierwszy rzut oka może się wydać, że może do niej wejść każdy. Ale to tylko pozór. W rzeczywistości wstęp do niej mają wyłącznie „funkcjonariusze" i zaufani odbiorcy „towaru". Wszyscy inni — miejscowi goście i turyści — widzą ze zdumieniem, że wszystkie stoliki są zawsze albo zajęte, albo zarezerwowane.

SPOTKANIE Z CONIUGATO

„Jednakże moje spotkanie z mediolańskim „królem narkotyków" — pisze włoski dziennikarz na łamach tygodnika „Tempo" — **odbyło się bez zakłóceń. Antonio Coniugato życzył sobie, bym usiadł przy jego stoliku. Towarzyszyło mu czterech jego współpracowników, których boss przedstawił krótko: „To moi chłopcy".**

Powiedziałem mu, że jestem kupcem, handlującym owocami cytrusowymi. Wymieniliśmy poglądy na temat drużyny piłkarskiej „Inter", poświęciliśmy kilka ciepłych słów kiełbasie sycylijskiej, która kosztuje w Mediolanie aż osiem tysięcy lirów za kilogram, poruszyliśmy nieco szerzej problem bandytyzmu na Sardynii, który zaczyna być dobrym interesem dochodowym, kilka minut zajęła nam krytyka ostatniego programu włoskiego telewizji kolorowej.

Rozmową kierował Coniugato. On poddawał i zmieniał tematy. Po każdym dzwonku telefonu następowało ogólne milczenie. Można było usłyszeć przelatującą muchę. Słuchawkę telefonu podnosił osobiście Coniugato. Rozmawiał monosylabami: **„Tak. Nie. Dobrze. Jutro. W San Remo. Kiedy pieniądze?"** Odkładając słuchawkę zwracał się do jednego ze swoich chłopców: **„Będzie to chyba dobra partia sera".** Albo: **„Miejmy nadzieję, że tym razem nie nabiją nas w butelkę".** Albo: **„Trzeba oszczędzać! Koszty rosną!"**

Gawędziliśmy oczywiście i o narkotykach, ale mimochodem. Nie mówiliśmy ani o importerach, ani o jego licznych odbiorcach, była natomiast mowa o konsumentach: **„Wiesz, co mówią o śpiewaku Iks? Że stracił na narkotykach okrągły miliard i jest teraz dosłownie bez grosza... Przypominasz sobie tego przemysłowca, który wczoraj wieczorem siedział w kawiarni przy trzecim stoliku? Mówią, że to B. N. Żeby kupić dobrą partię kokainy, zastawił pół fabryki... Aktor T. S. przestał zdaje się używać narkotyków. Tak twierdzą jego znajomi. Ale któż w to uwierzy?... Słyszałeś ostatnią nowinę? Mówią ludzie, że przemysłowiec A. G. już do nas nie przyjedzie. Postanowił sam sprowadzić dużą partię kokainy z zagranicy prywatnym samolotem. Powiedz, czy takiego bogacza, jak on, będą mieli odwagę spytać w komorze celnej: Niech no pan otworzy walizy i pokaże, co w nich jest?**

Dziesiątki, setki nazwisk, setki faktów, o których rozmawialiśmy najzupełniej swobodnie, bez obaw. Jakby chodziło o informacje, przeczytane w gazetach, lub zasłyszane na ulicy czy w mediolańskich nocnych klubach. Wiele razy miałem chęć skierować rozmowę na sprawy organizacji i systemu zbytu narkotyków. Ale uprzedzano mnie, żebym był bardzo ostrożny i unikał poruszania tematów, mogących wywołać podejrzenia. Pamiętałem o tej radzie".

WALIZY Z PODWÓJNYM DNEM

Do 1971 roku do szmuglu kokainy używano głównie kobiet, którym udawało się bez trudu przemycać „towar" przez komorę celną, używając przeróżnych wybiegów, jak na przykład pozorując ciążę, lub podróżując z dzieckiem przy piersi. Pod ubraniem i w pieluszkach można było ukryć średnio dwadzieścia porcji kokainy, wartości kilku miliardów lirów.

W 1972 roku „nadawcy" towaru zaczęli zaopatrywać swych kurierów-przemytników w walizy z podwójnym dnem. Przez kilka miesięcy wszystko szło gładko, jak po maśle. Ale któregoś dnia „zadziałał" donos; celnicy zaczęli prześwietlać promieniami Roentgena wszystkie bagaże, przybywające z Południowej Ameryki. Jednakże kurierzy szybko znaleźli sposób na ominięcie i tej przeszkody.

Kurierzy, którzy za jeden kurs otrzymują „ryczałtem" dwa i pół miliona lirów, a przemycają ilość kokainy wartości około 800 milionów lirów — zamiast lecieć samolotem wprost do Mediolanu, zmienili trasę i zaczęli przylatywać z Południowej Ameryki do Szwajcarii i dopiero stąd jechali do Mediolanu samochodami lub koleją. Wiedzieli przy tym doskonale, że zarówno na granicznych stacjach kolejowych jak i drogowych punktach granicznych z powodu zatorów i braku personelu w komorach celnych, nie ma tak ścisłej kontroli jak na lotniskach.

Od lutego ub. roku duża część tych kurierów-przemytników przybywa do Turynu, gdzie zbywa „towar" na miejscu hurtownikom, którzy przemycają go dalej.

MARIHUANA, HASZYSZ, BHANG...

Antonio Coniugato, „król narkotyków", importuje co 20 dni około ośmiu kilogramów kokainy. Inne, drobniejsze płotki — w sumie, około trzech kilogramów. Ogółem więc „rynek" w Mediolanie otrzymuje ponad jedenaście kilogramów kokainy miesięcznie, to jest około 120 kilogramów rocznie! Jedna trzecia część tego „towaru" pozostaje we Włoszech, reszta idzie „w świat".

Po kokainie wielkim popytem cieszy się indiańskie konopie w różnych postaciach i wariantach takich, jak **marihuana, haszysz, bhang, szereg** itp. Ten z kolei „towar" przybywa z Libanu, Turcji i Afganistanu. W Stambule i Bejrucie kilogram haszyszu kosztuje od 20 do 25 tysięcy lirów. W Dolinie Baalbek w Libanie można go kupić za 10—12 tysięcy lirów. Ale mediolański hurtownik kupuje go od kurierów za 700 tysięcy lirów za kilogram i odsprzedając w „detalu" zarabia na nim od 5 do 6 milionów lirów. Głównym punktem przerzutowym haszyszu na Zachodnią Europę jest Triest, do którego przemyca się ten narkotyk na statkach o podwójnych dnach i burtach. Stąd płynie on podziemnym kanałem do Mediolanu. Niedawno policja wykryła, że znaczne ilości haszyszu przemycają do Włoch hippiesi. Bandy handlarzy narkotykami wiedzą o tym wyśmienicie, ale nie ingerują, wiedząc, że kto zaczyna od haszyszu, wcześniej lub później kończy na kokainie i heroinie.

„PROSZĘ SPRÓBOWAĆ..."

Zapotrzebowanie na heroinę nieustannie rośnie. Policja włoska i Interpol są zaniepokojeni gwałtowną propagandą, rozkręcaną ostatnio przez handlarzy narkotykami. Angażują oni specjalnych naganiaczy, którzy krążą po ulicach i miejscach publicznych w centrum miasta, oferując bezpłatnie upatrzonym przechodniom igłę, strzykawkę i fiolkę z heroiną: **„Proszę spróbować, to przecież nic nie kosztuje"...** Wielu próbuje i wpada w pułapkę.

Dlaczego handlarzom narkotyków tak bardzo zależy na zbycie heroiny. Powód jest prosty: ciągną z tego wprost fantastyczne dochody. Kilogram opium kosztuje we Włoszech 150 tysięcy lirów i daje 100 gramów surowca morfiny. Ten z kolei, odpowiednio oczyszczony, daje 120 gramów heroiny, które kosztują „na rynku" 3 i pół miliona lirów. Ponieważ przy jednostkowej sprzedaży każdy gram heroiny „rozcieńcza się" zazwyczaj innymi składnikami chemicznymi, przeto owe 120 gramów przekształca się w 2400 gramów, z których można otrzymać 7 tysięcy porcji heroiny na sumę 56 milionów lirów (po 8 tysięcy za fiolkę). Tak więc jeden kilogram opium, po odpowiedniej „obróbce", przynosi ni mniej ni więcej, tylko około 55 milionów lirów dochodu. Nawet przy niskim kursie lira włoskiego jest to dochód ogromny. Oto dlaczego nawet turecki senator, Kudret Baijan, próbował sprzedać grupie zachodnioeuropejskich hurtowników 140 kilogramów surowca morfiny, ukrytych w siedzeniach jego mercedesa, za bagatelną sumę 20 miliardów lirów...

* * *

Narkomania szerzy się we Włoszech z zatrważającą szybkością i jest skutkiem panujących tam stosunków społecznych. Mówi się o kilkudziesięciu tysiącach młodych narkomanów, z tego ponoć, aż 35 tysięcy jest w samym Mediolanie. Liczby te nie odpowiadają jednak rzeczywistości, ponieważ we Włoszech żaden lekarz nie zgłasza leczonych narkomanów.

Oprac. J. CZECH

Chłopi w Lipcach

(Dokończenie ze str. 6)

— do słuchanie radia, od — do oglądanie telewizji, od — do czytanie prasy. Smutny stereotyp biernego i zdawkowego uczestnictwa w kulturze, na dobitkę nie wymagający chyba koniecznie jakichś programowych ram organizacyjnych, zważywszy, że niedawno oddany do użytku lipiecki Dom Kultury dysponuje większą ilością pomieszczeń, co powinno zapobiegać kolizji oglądania telewizji z czytaniem prasy.

Co tydzień przyjeżdża do Lipiec kino, więc idzie się na film. Raz na miesiąc idzie się na teatr, bo też przyjeżdża. Na sztukach teatralnych zawsze jest komplet, nawet kino nie ma takiego powodzenia. Melpomena cieszy się zresztą szczególnymi względami u lipieckiej publiczności. Zosia Pintara była na specjalnym przeszkoleniu dla instruktorów Klubów Miłośników Teatru Telewizji i dziś klub taki działa w Lipcach, zrzeszając licznych wielbicieli teatru i oferując im — zbiorowe oglądanie przedstawień Teatru TV i wspólną dyskusję po każdym spektaklu. Może cieszyć taki układ zainteresowań i potrzeb, niewątpliwie. Ale mimo wszystko pozostaje jakiś niedosyt i wrażenie kulejącej inicjatywy w przydawaniu kulturalnej codzienności rumieńców życia.

Po wstępnym, jakby trochę nieufnym z jej strony **„badaniu przeciwnika"** — rozmawiamy z Zosią już bezpośrednio, szczerze, po partnersku. Zosia jest dziewczyną z ludu, ze szlachetnego, jak tu powiadają, chłopskiego rodu. Skończyła technikum w Widzewie pod Łodzią, pracuje w Skierniewickim Instytucie Warzywnictwa jako technik asystent, trochę w laboratorium, trochę w szklarni. Szefowa **„robi doktorat z ogórków"**, żeby uzyskać jak najlepszą odmianę, bez goryczy, z cienką skórką. Praca przy tych doświadczeniach jest niezwykle ciekawa — zapewnia Zosia. I zdradza, że marzy o studiach. — Czemu więc nie studiujesz? — dziwię się. Okazuje się, że bała się, nie usiłowała nawet zdawać, tak dalece nie wierzyła, że mogłaby się dostać. Nic nie rozumiem. Czyżby jeszcze jakieś pokutujące demony przeszłości, które nie dawały szans, że nawet walczyć nie warto, bo z góry jest się skazanym na przegraną?

— Wiesz — zwierza się Zosia — jestem bezprzykładnie przywiązana do swojej wsi. Nie wyobrażam sobie, abym mogła mieszkać gdziekolwiek indziej. Miasto? Nie, do miasta wcale mnie nie ciągnie. Jak się uczyłam w technikum, mieszkałam tam w internacie, to się bardzo źle czułam, że mi wstyd było. Tak tęskniłam do swojej wsi, że mi się często na płacz zbierało. Tu jest pięknie, cisza, miasto jest zbyt hałaśliwe. O, patrz, jak kalina kwitnie!

Nigdy jeszcze nie widziałam kwitnącej kaliny. I bardzo rzadko mam okazję wsłuchiwać się w taki niewiarygodny spokój, oddychać pełnym światła **„powietrzem jak balsam"**. Tak, przyznaję się: bardzo chciałam odnaleźć w Lipcach Zosię z jej **„bezprzykładnym przywiązaniem do swojej wsi"**.

O tym myślę, odczytując z tablicy wmurowanej w czerwone cegły domeczku nad torami, stojącego w odosobnieniu, z dala od ludzkich siedzib: **„Tu mieszkał i tworzył w latach 1899—1901 Władysław Stanisław Reymont"**. Niepozorny dróżnik z małej stacyjki, Reymont niejaki — i jego Lipce, Lipce Reymontowskie...

Po drodze do starych Lipiec Zosia opowiada — o sobie, o swojej rodzinie, o swojej rozsławionej na cały świat wsi. O tacie kolejarzu, którzy po 12-godzinnej służbie sporą część wolnego czasu przeznacza na uprawianie 2-hektarowego gospodarstwa, o mamie, która krząta się przy inwentarzu. O sadzeniu ziemniaków, o kłoszących się zbożach.

ELŻBIETA DEMUS

KAROL BARANIECKI

KAROL BARANIECKI wpisał — a może będzie lepiej rzec — wrysował swoją twórczość na stałe do historii polskiej satyry. Niedawno Eryk Lipiński, przypominając w telewizyjnym cyklu dzieje polskiej satyry, niejednokrotnie prezentował nam prace Baranieckiego z „Pocięgla", „Szczutka", „Wróbli na dachu", „Sygnałów"... O oczywiście z międzywojennych „Szpilek".

— Niby inteligent i poeta a w łazience konia trzyma!

Ale przecież Karol Baraniecki to nie tylko historia satyry, lecz także współczesność. Grafika tego artysty wędruje na wschód i na zachód nie tylko w charakterze setek przedruków, ale także na wystawy w Montrealu i Moskwie. I właśnie ostatnio w stolicy Związku Radzieckiego Karol Baraniecki odniósł kolejny sukces. Na Międzynarodowej Wystawie Karykatury pt. **„Satyra w walce o pokój"** otrzymał drugą nagrodę.

Sukces jest naprawdę duży — do Moskwy bowiem nadesłało swe prace przeszło 200 grafików z 27 krajów. Spośród ponad tysiąca prac jury, pod przewodnictwem światowej sławy rysownika, **Herlufa Bidstrupa** z Danii, wybrało

Syzyf

także rysunki Baranieckiego.

Jeszcze jedna nagroda, jeszcze jedno osiągnięcie artystyczne w bogatej biografii tego artysty. A było ich wiele. Wystawiał swoje satyryczne impresje w Wiedniu i Paryżu, w Montrealu i Moskwie. Poza macierzystą **„Karuzelą"**, gdzie jest kierownikiem działu graficznego, drukował także w **„Rózgach", „Odrodzeniu", Trybunie Wolności"** i **„Świecie"** — a i dziś drukuje w **„Trybunie Ludu" i „Perspektywach"**, pracuje dla filmu rysunkowego, to właśnie on jest twórcą uroczych bohaterów serii filmowej **„Zaczarowany ołówek"**, serii, która zdobyła sobie uznanie w kraju i za granicą...

Karol Baraniecki urodził się w roku 1911 we Lwowie, gdzie też studiował u profesorów Kleinmana i Matzkego. Zadebiutował w roku 1928, a więc za parę lat obchodzić będzie jubileusz — bagatela! — **pół wieku pracy artystycznej na niwie satyry i karykatury.**

Mówi się nieraz, że zawodowi satyrycy są na co dzień ludźmi pozbawionymi humoru. Baraniecki zaprzecza tej obiegowej opinii — wiele jego powiedzonek i kalamburów krąży wśród ludzi, ma bowiem Baraniecki ową specyficzną zdolność przekładania na celny żart sytuacji spotykanych w życiu. Ot, choćby niedawno, w numerze jubileuszowym „Odgłosów" zobaczył Baraniecki fotografię Konrada Frejdlicha

Nasza pralka elektryczna

z rękami założonymi w geście Mony Lizy. „Dżiokonrad" — powiedział.

Z drugiej zaś strony artysta utrwala w swoich pracach żart anonimowy, ludowy wic. Owe „sputniki" — faceci krążący na bańce krawędzią monstrualnego kielicha — to przecież zapis graficzny popularnego powiedzonka.

Humor Karola Baranieckiego ma zawsze jakieś odniesienia — najogólniej mówiąc — literackie. Pisząc „literackie", mam po prostu na myśli to, że rysunki Baranieckiego są z reguły jakąś metaforą, zawierają więcej niż z pozoru mogłoby się wydawać. Ot, choćby Syzyf, pchający pod górkę... nie, nie głaz, lecz wielkanocną pisankę. Ot, choćby Nixon prowadzący na smyczy... pekińczyka. Albo ten biurokrata w zarękawkach, komponujący okrągłą pieczątką znak pięciu olimpijskich kółek.

Aluzje zawarte w tych, przykładowo podanych, rysunkach są, oczywiście, bardzo przejrzyste, nie ma

— Feluś, jesteś pewien, że tak dojdziemy do socjalizmu!

w nich wszakże nic z łopatologii. I jest to cecha twórczości Karola Baranieckiego, artysty, który potrafił połączyć jasność i precyzję z poetycką niemal metaforą.

JERZY WILMAŃSKI

WĘGLARZE

Jan Popielak spod Rzgowa wiózł do Łodzi ziemniaki z nadzieją, że powróci z węglem. Sposób już znał, sąsiad go wtajemniczył, tylko praktyki mu brakowało. Wiedział, że podjeżdża się wczesnym rankiem furmanką pod pierwszy lepszy skład opałowy i sprawę załatwia jak trzeba. Jan Popielak nie zamierzał bowiem węgla kupować, chciał węgiel załatwić. Zawszeć to taniej wynosi. Sądzę, że nie muszę szczegółowo objaśniać zasadniczej różnicy między tymi subtelnymi pojęciami.

Przed składem opałowym Jan Popielak spotkał właściwego człowieka, który mu powiedział, że jak się da, to się zrobi. Był to niejaki *Franciszek Czwartek*, o którym potem psychiatra sądowy powie: „poziom inteligencji odpowiedni do wykształcenia". Wykształcenie zaś na poziomie drugiej klasy szkoły elementarnej, a więc może niezbyt wysoki. Franciszek Czwartek egzystował przy składzie opałowym jednak nie dzięki swoim kwalifikacjom intelektualnym, ale przeważnie z powodu swych zalet fizycznych.

— Głowy do nauki to ja nie mam — odpowiadał zawsze z dumą — *ale w mordę dać potrafię.*

Streszczając się należy stwierdzić obiektywnie, że 15 września 1972 roku w okolicy dworca kolejowego na Chojnach pojawiło się zapotrzebowanie na furkę węgla. Doświadczenie uczy, że jak jest tylko kupiec to i dostawca zaraz się znajdzie.

Franciszek Czwartek zezna później przed sądem, co następuje:

— Tedy podchodzi do mnie dwóch mężczyzn i zapytuje, czy nie mam kupca na węgiel. Odpowiadam, że mam chłopa ze wsi, który handluje ziemniakami i był on tu wczesnym rankiem pod składem i pytał, czy by nie można taniej węgla kupić. Ja mu odpowiedziałem, że może coś się zrobi, będziemy się starać. W końcu, proszę Wysokiego Sądu, źródłem mego stałego utrzymania jest praca dorywcza.

Dla niejakiego *Eugeniusza Kuciaty*, kierowcy zawodowego drugiej kategorii dzień ten, czyli 15 września ubiegłego roku zaczął się bardzo fatalnie. Kuciata zwyczajnie zaspał i nie zdążył na piątą do pracy, zaledwie zdołał się na szóstą doczołgać do kiosku z piwem, tak go suszyło od wczoraj. Tam spotkał kolegę z pracy, wypili po piwie i pół litra też. Później jeszcze drugie pół litra. Jak to dobrze, że kiosk z piwem na stacji Łódź-Chojny jest tak wcześnie czynny. Wtedy wyrósł przed nimi Franciszek Czwartek. Dogadali się. Udali się natychmiast w trójkę na plac, gdzie właśnie węgiel z wagonów przeładowywano na samochody Wojewódzkiej Spółdzielni Transportu Wiejskiego.

— Czy pojedziesz z węglem do Żyda — spytał jednego z kierowców Franciszek Czwartek.

— Nie pojadę — odparł kierowca. *— Jestem nowy, chcę trochę popracować. Jak już tak bardzo chcecie, to możecie sami pojechać. Ja się oddalę trochę od wozu i zapomnę wyjąć kluczyk ze stacyjki.*

— Chcesz to stadaj — powiedział wtedy Franciszek Czwartek do Eugeniusza Kuciaty, kierowcy zawodowego z prawem jazdy drugiej kategorii.

— I ja głupi bez zastanowienia wsiadłem do szoferki — zezna przed sądem Kuciata. *— Pojechaliśmy ulicą Rzgowską, wykipowałem węgiel na ziemię za jakimś rogiem i odstawiłem samochód na swoje miejsce.*

Zresztą znany to i praktykowany system. Wiadomo — ukraść samochód za zgodą jego kierowcy jest i wygodniej i bezpieczniej. Jak mnie złapią, to kierowca nie odpowiada. Jak mnie nie złapią, to się z nim dzielę.

— Wysoki Sąd jest ciekaw, ile za ten węgiel otrzymałem od chłopa. Dał mi 800 złotych za trzy i pół tony. Podzieliłem się uczciwie tą sumą z kolegami i poszliśmy do restauracji „Górniak". Otrzymaną gotówkę zaraz przepiłem. Przywłaszczone najlepiej zaraz przepić — jak powiadała moja mamusia, a ja zawsze byłem posłusznym dzieckiem.

Dopiero na drugi dzień, jak otrzeźwiałem, uprzytomniłem sobie, że popełniłem przestępstwo. Bardzo tego żałowałem i z tego żalu zapomniałem znów pójść do pracy, poszedłem na piwo. Takie już mam wrażliwe sumienie. A wszystko przez tego chłopa, któremu się taniego węgla zachciało.

KAROL BADZIAK

DUCH NIESPOKOJNY

„Goya koszmar, ten koszmar rzeczy niebywałej,
Kiedy sabat czarownic gra groteskę raju,
Gdzie lubieżne staruszki i dziewczynki małe,
Aby skusić szatanów, pończochy wciągają";

Pisał Baudelaire w swych słynnych **„Kwiatach zła"** (cytuję w przekładzie Zbigniewa Bieńkowskiego).

GOYA — duch niespokojny, wesołek i uwodziciel pięknych kobiet, zabijaka i pojedynkowicz, genialny artysta o żywej, pełnej sprzeczności naturze. Upłynęło sto lat od śmierci Velazqueza, gdy blask i sławę hiszpańskiej sztuki podupadłej i wygasłej, ożywił właśnie Francisco Goya y Lucientes. Do dziś intryguje nas jego malarstwo. Do dziś krążą legendy i domysły o jego dwóch, jakże podobnych a przecież tak różnych płótnach: **„Maja naga"** i **„Maja ubrana"**.

Legenda głosi, że naga Maja wywoływała tak wielkie zgorszenie, że malarzowi kazano by ją „ubrał". Naga Maja wydawała się bowiem współczesnym nieprzyzwoita swą naturalną nagością, frywolną pozą, zindywidualizowaniem postaci. Z podobnymi zarzutami spotka się później Manet, gdy w roku 1865 wystawi swą „Olimpię" podobną do Mai jasnożółtą karnacją ciała, o cieniach lekko fioletowych, o kontrastach między ciepłymi tonami żywego ciała a chłodem tkaniny. Czy jednak dlatego Goya ubrał swą Maję, która po tym zabiegu stała się jeszcze bardziej frywolna, bardziej kusząca w długiej, cienkiej, przylegającej do obfitych kształtów szacie? Ale są to tylko domysły.

W istocie Goya namalowawszy nagą kobietę nie mógł się tym obrazem zbytnio chwalić. Dekret królewski zabraniał malowania nagich ludzi, a inkwizycja surowo nad tym czuwała by nikt nie przekraczał tego zakazu, jeśli nie chciał zginąć na stosie jako kacerz. Toteż jeśli który z hiszpańskich malarzy owego czasu namalował nagą kobietę sporządzał zaraz drugi jej portret — odzianej. Wtedy ten drugi obraz zasłaniał pierwszy i tylko zaufanym przyjaciołom odsłaniał mistrz namalowany akt.

Kim była Maja Goyi? Nie było to bynajmniej imię. Majowie byli określoną warstwą społeczną, rekrutującą się przeważnie z rzemieślników, lecz mającą swe określone, tradycyjne obyczaje, ściśle przestrzegane, jak też ściśle przestrzegane tradycyjne hiszpańskie stroje. Cechowała ich duma osobista, podkreślanie niezależności. Mają nazywano w owym czasie kobietę ubierającą się modnie, a panowała właśnie moda na strój ludowy, barwny, pełny ozdób. W przypadku więc kobiety przedstawionej na obrazie Goyi, nie było to zbyt ściśle określenie. Ale tak już pozostało w historii sztuki. Podobno do obrazu Mai pozowała kochanka malarza księżna Alba. Z tą jednak różnicą, że przypuszczenie to odnosi się do jej postaci, nie do jej głowy. Bowiem głowa Mai wygląda wyraźnie jakby domalowana.

Francisco Jose Goya y Lucientes urodził się w roku 1746 w aragońskiej wiosce Fuendetodos jako syn chłopa, pozłotnika (pozłacał ołtarze). Matka, Gracia Lucientes pochodziła ze zbiedniałej szlachty. Ojciec Goyi opuszcza wkrótce wraz z rodziną wieś, przenosząc się do Saragossy, gdzie pracuje jako pozłotnik. Młody Goya, który od młodości wykazywał talent artystyczny kształci się u jednego z malarzy. Mając lat dziewiętnaście Goya wyjeżdża do Madrytu. Była to podobno ucieczka z Saragossy, gdyż silny, zręczny, nieokiełzany chłopak brał udział w jakiejś zwadzie ulicznej, a na placu boju pozostało trzy trupy. Goya w Madrycie kształci się dalej, wystawia swoje obrazy, ale nie zyskuje większego uznania. Postanawia wyjechać do Włoch. Aby zdobyć niezbędne pieniądze na podróż, zarabia w prowincjonalnych miasteczkach jako torreador.

W końcu 1760 roku jest już w Rzymie. Bierze tu udział w wesołych zabawach, ma przygody miłosne, pojedynkuje się, wyżywa w szalonych wyczynach. Pewnego razu wdrapał się na kopułę katedry św. Piotra. Nie zaniedbuje przy tym studiów malarskich. W roku 1771 wraca na krótko do Saragossy, ale jeszcze w tymże roku wyjeżdża do Madrytu. Za panowania Karola III kwitnie tu życie artystyczne. Od roku 1761 działał tu sprowadzony z Wenecji Giovanni Battista Tiepolo, który wspaniałymi barokowymi freskami przyozdabiał salę tronową madryckiego zamku.

Gdy Goya przybywa do Madrytu Tiepolo nie żyje od roku. W malarstwie stolicy wiedzie prym klasycystyczny Anton Raphael Mengs ściągnięty z Neapolu. On to wkrótce zostaje pierwszym malarzem nadwornym. Jemu to prawdopodobnie, zawdzięcza Goya zamówienia na projekty królewskich tapiserii. Goya sporządza kartony dla gobelinów i dywanów. Trudno ściśle określić daty ich powstawania, ale pochodzą one z lat 1776—1786.

W tym to czasie powstają jego obrazy, które do dziś znajdują się w madryckim muzeum Prado, a które — jak to podkreśla Anni Wagner w jednym z ostatnich numerów monachijskiego miesięcznika „Die Kunst" — albo bardzo rzadko, albo wcale nie były reprodukowane, a w każdym razie nigdy jako barwne. Do nich to należą m. in. tak wspaniałe sceny jak zabawa ludowa, jak dziewczęta niosące dzbany, jak pijący wino itp. W owym czasie Goya maluje też mnóstwo portretów ówczesnych wybitnych osobistości. Z biegiem lat zaznacza się w twórczości malarza wyraźny przełom. W jego obrazach i cyklach graficznych pojawia się nastrój grozy. Wojna i jej okrucieństwa poruszają go do głębi. Maluje m. in. słynny, wstrząsający obraz rozstrzelania powstańców madryckich przez okupujące kraj wojska francuskie. Nastrój przygnębienia, rozpaczy nawet, pogłębia ciężka choroba, Goyi prowadząca do kompletnej głuchoty. Mimo tego, a nawet mimo postępującej choroby oczu tworzy dalej. Naraziwszy się Ferdynandowi VII musi opuścić Hiszpanię. Przybywa do Bordeaux, gdzie umiera w cztery lata później w wieku lat 82.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZEDTERAŹNIEJSZOŚĆ

MIESIĄC PAMIĘCI

Historyk uważa za rzecz samą przez się zrozumiałą, że „naród polski, pozbawiony w ciągu 123 lat niepodległego bytu państwowego i poddany najcięższej próbie dziejowej w okresie II wojny światowej, odznacza się wielką wrażliwością na własne dzieje" i przypomina sobie rolę, jaką pamięć o przeszłości spełniała u nas w epoce zaborów, przywodzi na pamięć walkę, jaką wydawały jej zaborcze rządy i opór, z jakim się ona spotykała, zwraca uwagę, jak owe dawne, zdawałoby się nieaktualne już sprawy, zaktualizowały się tragicznie w dobie hitlerowskiej okupacji. Wypowiedziano nawet pogląd, że nasza polska „wrażliwość historyczna" jest zdecydowanie większa, niż innych narodów i nie wydaje się on zbytnio przejaskrawiony, chociaż nie poparto go — jak dotąd — żadnymi badaniami porównawczymi. Można by się jednak spodziewać, że w konfrontacji z narodami, które zwłaszcza w swojej nowożytnej i najnowszej przeszłości przebyły koleje podobne do naszych, to, co dotychczas uważamy za naszą własną osobliwość, mogłoby się okazać prawidłowością.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że nasza wrażliwość historyczna sprawia, że wszystkie ważkie spory ideowe, tak współcześnie, jak w przeszłości, są i były jednocześnie sporami o kształt myślenia o narodowej przeszłości, że te ostatnie niejednokrotnie stawały się swojego rodzaju lakmusowym papierkiem, który pozwalał dojrzeć i ujawnić kontrowersje i napięcia, nie zawsze widoczne na płaszczyźnie życia społecznego, dostrzegalne na pierwszy rzut oka, ale istniejące realnie w rzeczywistości społecznej. Zagadnienia historycznego myślenia Polaków miały bowiem i mają swoje doniosłe znaczenie polityczne, i z tego dobrze jest sobie zdawać sprawę. Wystarczy tu przypomnieć atmosferę sporów o ogląd narodowej przeszłości, jakie rozwijały się u nas od połowy lat pięćdziesiątych, a zintensyfikowały od połowy następnego dziesięciolecia, ostre porachunki ze schematami ciążącymi niegdyś na poglądach na dzieje narodowe i wiele innych znanych zjawisk.

Wyjątkowa, ale uzasadniona ranga świadomości historycznej w światopoglądach współczesnych Polaków, znalazła swoje pełne potwierdzenie w wynikach badań socjologicznych. W ankiecie z 1964 r., ograniczonej do ludności miejskiej, jedynie 3, 4 procent osób zadeklarowało swój brak zainteresowania przeszłością. W badaniach, prowadzonych w początku lat siedemdziesiątych, które objęły zarówno ludność miast, jak i wsi, dwie trzecie ankietowanych zadeklarowało swoje zainteresowanie audycjami, filmami i książkami o tematyce historycznej. Jakąś miarą społecznej wrażliwości na historię jest u nas wreszcie „uczestnictwo najszerszych mas w rozmaitych obchodach rocznicowych, pietyzm w pielęgnowaniu zabytków kultury i pomników pamięci narodowej, emocjonalne zaangażowanie rozmaitych środowisk w dyskusje, jak spór wokół „Popiołów" Andrzeja Wajdy czy wokół ocen i interpretacji najtrudniejszych spraw polskich w dobie ostatniej wojny". Szczególnie jaskrawym objawem uwrażliwienia społeczeństwa na ogląd dziejów narodowych, są rozwijające się w naszym piśmiennictwie i wszelkich innych formach przekazywania historycznych treści spory o Wrzesień 1939, jakże wciąż żywy w pamięci społeczeństwa. Nie tylko badania socjologiczne, własne odczucia czytelników prasy i książek, ale również „doświadczenia bibliotekarzy i praktyka księgarska wskazują, że literatura dotycząca Września 1939 roku cieszy się niesłabnącym powodzeniem w szerokich kręgach czytelniczych. Pokolenie starsze pragnie sobie wyrobić pełniejszy pogląd na wydarzenia sprzed przeszło ćwierć wieku, zestawiając własne przeżycia i doświadczenia z ocenami historyków czy pamiętnikarzy. Pokolenia młodsze oraz młodzież, w klasycznym tego słowa ujęciu, nie posiadające już osobistego, uczuciowego stosunku do Września i jego spraw, szukają podstawowej wiedzy o tym okresie, który stanowił moment przełomowy w historii państwa i narodu polskiego, i odegrał wielką rolę w losach ich dziadów, rodziców i starszego rodzeństwa".

Bylibyśmy oczywiście, w błędzie, gdybyśmy spoglądali na współczesną polską świadomość historyczną jako na coś stałego, co nie podlega żadnym zmianom. Przeciwnie, bliższe przypatrzenie się tej stronie naszego życia społecznego ujawnia, że i tutaj zachodzą istotne przemiany, chociaż nie zawsze potrafimy je dostrzec i przewidzieć ich kierunki. Niektórzy publicyści skłonni są do przeceniania zjawiska pewnego spadku zainteresowań historycznych zwłaszcza wśród ludzi stosunkowo młodych, o wykształceniu technicznym, zjawiska, które zresztą nie zostało jeszcze w pełni rozpoznane. Niektórzy nawołują wręcz do wzięcia rozbratu z historią, jako kulą u nogi społeczeństwa, które pragnie szybciej zmierzać w przyszłość. Głosy te spotykają się ze sprzeciwem, powodują konieczność stawiania sobie coraz to nowych pytań, na pewno zaś grzeszą jednostronnością w ocenie zjawiska, które — jak wszystkie — nie pozostaje niezmienne. Bliższe wejrzenie w dokonujące się zmiany uprawnia do stwierdzenia, że idą one w kierunku odwrotu od jednostronności historycznego spojrzenia, zmierzają do zintelektualizowania społecznego oglądu dziejów i jest to proces nieuchronny, bynajmniej nie jednoznaczny z... tym, co zwie się zwykle dehistoryzacją społeczeństwa. Bo przeszłość nie jest dla nas tylko przedmiotem dumy: jest także przedmiotem coraz to bardziej pogłębionej refleksji. Nie wyklucza ona oczywista postaw emocjonalnych, ale stara się je intelektualizować. I to jest szczególnie ważne, również w miesiącu pamięci narodowej.

LEKTOR

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

Obraca się...

ZdarzeniA • I • ZwierzeniA

AKTORZY ZZA PARAWANU

W tym roku Państwowy Teatr Lalek „Arlekin" obchodzi swoje 25-lecie. To już drugie pokolenie widzów prowadzi swoje dzieci do tego teatru. To już drugie pokolenie widzów oklaskuje aktorów, ukrytych za parawanem lub barwną maską. Z tego grona dwóch — Ryszard Sikorski i Stanisław Witecki — obchodzą swoje 25-lecie razem z teatrem. Już drugie pokolenie widzów oklaskuje jubilatów, którzy zresztą wcale na jubilatów nie wyglądają, choć włos nieco posiwiały i „na liczniku" blisko 100 premier.

Jak to się zaczęło? - Mówi Stanisław Witecki:

„Byłem studentem konserwatorium, kiedy namówiony przez koleżankę zgłosiłem się do dyrektora Henryka Ryla, jako kandydat na aktora. Trudna to praca, ale tyle daje zadowolenia, że... jednak zostałem wierny lalce i dziecięcej widowni".

Mówi Ryszard Sikorski:

„Żyłem i żyję razem z tym teatrem — przeżywam jego wzloty i upadki, a dziś cieszę się, że pracuję w teatrze z prawdziwego zdarzenia. Praca nasza nie jest łatwa, ale daje dużo satysfakcji. Spontaniczna reakcja widowni wynagradza nam wszystkie trudy...".

Wiem, że nie są to konwencjonalne słowa. Trzeba wiele zapału, pasji, trzeba kochać tę trudną pracę, tak rzadko doczekującą się oficjalnego uznania. I nie dla owego oficjalnego uznania pracują Ryszard Sikorski, Stanisław Witecki i ich koledzy z zespołu. Pewno, że często bolą ich oznaki niedoceniania, że irytuje lekceważenie...

„A przecież to my, lalkarze — mówią obaj — wychowujemy widza dla dorosłych teatrów, otwieramy te pierwsze wrota wtajemniczenia w teatralne konwencje, kształtujemy nawyki".

Często z okazji zagranicznych sukcesów „Arlekina" przypomina się działalność tego teatru — ale rzadko wspomina się o trudzie i wysiłku ludzi, którzy są autorami owych sukcesów. Może Nagroda Jubileuszowa dla Ryszarda Sikorskiego i Stanisława Witeckiego nie jest akurat najlepszą okazją do ukazania trudów pracy aktorów zza parawanu, ale odstąpmy od konwencji.

Oto szara, niemalowana strona barwnego widowiska. Aktor przez półtorej godziny spektaklu dźwiga i manewruje lalką, ważącą nieraz 10 kg. Aktor przez półtorej godziny spektaklu występuje w masce ważącej nieraz 10 kg. Występuje — to znaczy mówi, śpiewa, tańczy — po prostu gra.

„Teraz mamy udogodnienie — mówi Stanisław Witecki — wewnątrz masek zamontowaliśmy wiatraczki samochodowe na baterię. Zawsze trochę powietrza to daje, ale i tak po spektaklu wszyscy padamy ze zmęczenia".

Niedawno „Arlekin" występował w Katowicach i za kulisy przyszedł pewien pracownik huty. Popatrzył na zlanych potem aktorów i rzekł:

„To w hucie jest lżej, bo mamy w pracy przerwy na odpoczynek i wolne dni...".

Może to był konwencjonalny wyraz uznania, ale jakże prawdziwy! Teatr wystawia rocznie 600 przedstawień, odliczając urlopy i dni wolne (niewiele ich, niewiele), daje to dwa spektakle dziennie.

„Jeśli scena rozwiązana jest w dwa — trzech poziomach — mówi Ryszard Sikorski — ile pięter musimy pokonać, skacząc przez półtorej godziny po praktykablach z góry na dół i z powrotem?

Piszę o pasji, umiłowaniu tego lalkowego świata, ale ileż trzeba kunsztu aktorskiego, umiejętności operowania głosem, aby grając zza maski i parawanu, nie zerwać sobie głosu, zachować dźwięczny ton, interpretować rolę zgodnie ze scenariuszem i reżyserem? To już nie tylko sprawa wysiłku fizycznego, ale aktorskich umiejętności, nieco odmiennych niż w dramacie, lecz przecież niebanalnych umiejętności scenicznych.

Aktorzy zza parawanu grają dla dziecięcej widowni i ona ich nagradza najpiękniej — wzruszeniem, spontanicznym przeżyciem, uśmiechem. I jeśli świat dorosłych jest mniej wrażliwy i często zapomina o trudzie i pięknie pracy aktorów-lalkarzy, to właśnie tamto dziecięce wzruszenie i uśmiech dają to, co w każdej pracy najistotniejsze. Świadomość roli społecznej, potrzeby, świadomość tworzenia pokładów wrażliwości w coraz to nowych pokoleniach małych widzów.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

GDZIE TE MÓZGI?

Najlepsi specjaliści od organizacji, skupieni w Towarzystwie Naukowym Organizacji i Kierownictwa (TNOiK), zorganizowali niedawno w Bydgoszczy konferencję naukową, na której co trzeci słuchacz nie miał na czym usiąść. Jeszcze raz więc rozminęła się teoria z praktyką, która nie zawsze zgadza się z wyobraźnią speców od organizacji.

Tematem organizacji była informatyka, czyli nowa hermetyczna gałąź wiedzy o informacji i — zwłaszcza — o elektronicznym przetwarzaniu informacji. Jest to wiedza ezoteryczna, posługująca się nowym językiem, transcendentna, wystarczająca sama sobie. Przed paroma miesiącami zauważył w „Literaturze" Jerzy Zieleński, że wszyscy wiedzą i rozprawiają o komputeryzacji, tylko, że jej wcale nie ma. „Intelektualnie mamy już pozornie wszystko za sobą, technicznie — wszystko przed sobą" — powiada Zieleński, zaprzeczając tym samym powszechnemu utyskiwaniu na fakt, że humanistyczne dyscypliny nie nadążają za lawinowym rozwojem techniki. Nie tylko nadążają, ale — jak się okazuje — czekają na spóźnionych techników, tworząc tymczasem coraz grubsze rozprawy informatyczne.

Komputery, zwane do niedawna mózgami elektronowymi, to fantastyczna zabawka. Proszę się nie obrażać za to słowo, jestem naprawdę entuzjastą EPD (nie, nie będę tłumaczył tego skrótu, kto wie ten rozumie), ale przecież dużo było prawdy w artykule francuskim, przedrukowanym przez „Forum", a stwierdzającym, że wiele potężnych firm zachodnich sięga po pomoc komputerów tylko po to, żeby nadać sobie szyk supernowoczesnego przedsiębiorstwa, zaprzęgającego w służbę swego byznesu najbardziej wymyślne narzędzia bez liczenia się z kosztami.

Otóż to: maszyna liczy niewyobrażalnie szybko, kosztuje też fantastyczne pieniądze. Liczy szybko, tylko że przedtem trzeba ją przez wiele tygodni programować, przygotować dla niej materiały wejściowe, przenieść wszystkie informacje na odpowiednie perforowane karty itd. W sumie to trwa na tyle długo, że kilkuset urzędników przez ten czas zliczy to samo metodami sprzed wieków. Co na to poradzić, że tych kilkuset urzędników kosztuje setki razy taniej niż programiści plus maszyna? Dopóki tak jest, nie wierzę w szybkie upowszechnienie komputeryzacji w naszej gospodarce. Chyba że dla prestiżu, jak we Francji.

Ale jest powód znacznie ważniejszy, opóźniający wprowadzenie maszyn do statystyki, ewidencji i zarządzania. Różne programy elektronicznego przetwarzania danych (EPD) zazębiają się, podsystemy składają się na system, każda informacja jest zawsze dla każdego szczebla i dla każdego pytającego informacją jednoznaczną, tą samą, bezwzględnie jedyną. Odpada zjawisko zegara, ulubiony filozoficzny motyw mistrza Wańkowicza: gdy duża wskazówka jest dokładnie na dwunastce, to ktoś patrzący z lewej strony widzi ją o dwie minuty dalej, patrzący z prawa — o dwie minuty wcześniej. W tabulogramie widzi się zawsze tę samą liczbę, a to wcale nie dobrze. Liczba odpowiada przecież jakiemuś faktowi. Ten fakt jest dla kogoś korzystny, dla kogoś innego — niekorzystny. Ten pierwszy będzie naturalnie dążył do wyolbrzymienia faktu, ten drugi — do jego pomniejszenia. Producent chce się pochwalić maksymalną dostawą swego wyrobu do hurtownika, bo za to otrzymuje premię. Wlicza więc do dostawy wszystko co się da, wyroby zamówione i nie zamówione, standardowe i niestandardowe, opakowane i bez opakowania, wykończone i niezupełnie wykończone (buty bez sznurowadeł, lalki bez włosów, walizki bez kluczyków); wysyła towar z datą lekko podfryzowaną wstecz, fakturę podciąga jak się da w górę (potem można będzie uznać pomyłki, nie szkodzi, będzie już po premii). Hurtownik chce usprawiedliwić nie najlepsze obroty, zaniża więc otrzymane dostawy, skreśla z nich co się da, co tylko nasuwa minimalne wątpliwości interpretacyjne.

Sprawozdania hurtownika i producenta są różne, choć dotyczą tej samej rzekomo zaszłości. W tabulogramie one nie mogą być różne, dlatego ani producent, ani hurtownik, nie są zainteresowani w szybkim dojściu do rzetelnych tabulogramów. Inaczej mówiąc: nikomu nie zależy na bardzo szybkim ujawnianiu wszystkim całej prawdy, bo to wprawdzie ułatwiałoby podejmowanie właściwych decyzji, ale za to uniemożliwiałoby doraźne, optymalne zaspokajanie partykularnych interesów miliona zwyczajnych zjadaczy chleba. Interes własny jest silniejszym bodźcem niż abstrakcyjne „dobro ogółu". Kapitalista profituje na tym, że zna całą prawdę o swoim przedsiębiorstwie, jego profit jest jednak antagonistyczny wobec interesu pracowników i wobec urzędu podatkowego. Tylko, że on ani pracowników ani urzędu nie pyta, instalując komputery, których zresztą nie włącza do żadnych nadrzędnych systemów.

Konferencja bydgoska zakończyła się zapowiedzią dalszych w tym zakresie narad. Ludzie przyjadą, podrzemią i pojadą, nic nie zrozumiawszy z kółek i kółeczek rysowanych na tablicy. Może to nie ci ludzie, co powinni, może to etatowi bywalcy narad.

ĆWIEK

POWIĘKSZENIA

O PÓŁ METRA ZA... WCZEŚNIE

Wybitny stylista, as sprawozdawców telewizyjnych, Jan Ciszewski relacjonując mecz hokejowy Polska-Czechosłowacja z Moskwy, dawał zadziwiające przeróbki języka polskiego na „sportowy". Zapamiętaliśmy jedno: „Proszę państwa, co za szkoda, że nasz zawodnik wjechał na tercję przeciwnika o pół metra za wcześnie i był spalony".

Zawodnik ów spalił się chyba ze wstydu, za takie sprawozdanie z meczu.

TAJEMNICE PROZY... WIELOKROPKOWEJ

W nr 14 „Życia Literackiego" znajdujemy opowiadanie Urszuli Białeckiej — „Ręce". Opowiadanie, jak opowiadanie, ale najbardziej zafascynowały nas ...wielokropki. Roi się w nim od nich, i chyba gwoli rozbawienia czytelników autorka używa czasami wielokropków składających się z 14 kropek, to znów stosuje ich mniej, by dojść w niektórych fragmentach tekstu do trzech kropeczek.

Można i tak — tylko po co?

DZIWNE MATERII POMIESZANIE

W artykule „Poetyckie znaki zodiaku" w 3 numerze „Poezji" Bohdan Drozdowski pisze: „Dlaczego nie znajdzie się krytyk, który potrafi — jak to potrafił na przykład Edmund Wilson spokojnie powiedzieć, że wiersz jest dobry bo i niedobry ponieważ oraz że Eliot jest reakcyjny?"

Gdyby jeszcze ten krytyk pisał po polsku.

TYTUŁ TYGODNIA

W nr 73 „Głosu Robotniczego" znajdujemy tytuł: „Zamek Królewski w Muzeum przy placu Wolności".

Pod redakcją: ZBIGNIEWA KOPALCZYKA

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Żwirki 17.
Zam. 843. T-4.